DUNAJEC

Nr 35 (408)
28 sierpnia 1988 r.
Cena 35 zł

PL ISSN
0208-5968
Nr indeksu 35657

Nowosądecki tygodnik PZPR

Fot. JANUSZ BARAN

Jerzy Masior

Kwiat zasuszony

W gęstwinie uczuć — kropla chwili,
pouzbierane znaczeń płatki.
Kwiaty, któreśmy zasuszyli
— jakiś rozmaryn, czy bławatki.

W tomikach wierszy, pośród stronic
matryce liter — jakieś słowa.
W trawie te dzwonki już nie dzwonią
i nic nie zacznie się od nowa.

To nie jest podróż gdzieś donikąd,
To nie jest bagaż ulotności.
Kwiat zasuszony już nie znika,
Chociaż tak kruchy jak miłości.

Czy to króciutkie pamiętanie
Jeszcze nam dzisiaj jest potrzebne?
Czy choć przez chwilę tam przystaniesz,
Gdzie wszystką było tak podniebne!

Lucyna Kaszuba

Na „ciuchach"

Na sądeckich „ciuchach" przy ulicy Lwowskiej ruch zaczyna się wczesnym rankiem. Wielkie roboty: z używanymi ubraniami rozkładają na ziemi Cyganki; w stosach rzeczy kupujący mogą przebierać do woli. Sprzedawcy starają się zająć najlepsze miejsca przy długich stołach, przyciągnąć uwagę klientów bardziej skłonnych do oglądania niż do kupna.

Żeby cię pokręciło! — woła rozsierdzona Cyganka wymachując pięścią. — *Ukradła na moich oczach, widzieliście wszyscy* — zwraca się do gromadki gapiów. Niesolidna klientka wraca, wciska w rękę pomstującej kupcowej pieniądze. — *Zejdź mi pani z oczu* — opędza się obrażona Cyganka. — *Trzeba było poprosić, to bym dała, nie brać jak swoje. Co za nieuczciwość...* Narzekania trwają jeszcze dłuższą chwilę. Wreszcie przywłaszczony ciuszek wartości kilkuset złotych wraca do pokrzywdzonej.

Latem na placu targowym szczególnie tłocznie. Towar w większości niezbyt atrakcyjny — przyniszczone buty, swetry, sukienki... Bystre oko wyłowi jednak sporo interesujących rzeczy. — *Od kilku lat co jakiś czas przychodzę na ciuchy* — zwierza się starsza kobieta. — *Mam dużą rodzinę, a małą rentę — każdy grosz się przyda. Sprzedaję swoje rzeczy, ubranka wnuków, czasem wezmę coś w „komis" od znajomych. Interes kiepski. Niby kryzys, a ludzie coraz bardziej wybredni, szukają głównie nowych zagranicznych towarów. Jeździłam także na targi do Starego Sącza i na wieś, ale wszędzie jest tak samo. W sklepach nikt nie grymasi, za byle co płaci się duże pieniądze, a tutaj ludzie chcieliby wszystko dostać za grosze.*

Kilku chłopców sprzedaje kasety magnetofonowe, drogo — prawie dwa tysiące złotych sztuka. Są także kasety video; za film z Rambo chcą dziesięć tysięcy. Nie ma chętnych. Starszy pan rozłożył pod murem targowiska obrazy. „Jak żywe" jelenie przy wodopoju, rusałki tańczące nad jeziorem, smętne pejzaże o jaskrawych barwach. — *To z rodzinnej kolekcji, znanego malarza* — zapewnia. — *Jest na co popatrzeć.* Obok ktoś ustawił nieco zardzewiałą naftową lampę i pokryty śniedzią samowar. Chłopcy oferują inne starocie — medale i odznaki. Wiejska kobieta przytaskała korpus zabytkowej maszyny do szycia marki „Singer". Tylko osiemnaście tysięcy złotych. — *To maszyna nie do zdarcia* — zachwala. *Niech pani kupi. W domu mam resztę „Singera", trudno ciężkie żelastwo w całości dźwigać na targ.* Jakaś kobieta ciągnie rękaw mojej bluzy, którą trzymam przewieszoną na ręku. — *Ile pani za to chce?* — pyta. Przepraszam, gdy wyjaśniam, że to nie na sprzedaż. Wielkie zainteresowanie budzą bluzki, spodnie, komplety z greckimi i tureckimi metkami. Najnowsze modele, atrakcyjne kolory. Tylko ceny szokujące: sportowa letnia bluzka z bawełny — czternaście tysięcy złotych, komplet (spodnie i bluzka) — dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Poaglądać można, chętnych do kupienia nie widać. — *Dlaczego tak drogo?* — dopytuja klientki. — *Widać przecież, że to zagraniczne* — odpowiada młody mężczyzna. *Taka podróż sporo kosztuje, rzeczy w Grecji drogie, a jeszcze trudno cokolwiek przewieźć. Nie podoba się? To proszę sobie kupić coś ładnego w sklepie.* Elegancka dziewczyna rozkłada na stole zagraniczne sukienki, spodnice. Wszystko drogie. Są nawet ładne duńskie kozaczki z futerkiem, kołnierze z lisów (tak wąskie, że na porządny kołnierz trzeba kupić ze trzy).

Wprawę w handlowaniu zdobyły małe dziewczynki, które zachwalają swój towar: dziecięce ubranka, płaszczyki. Kłócą się między sobą o wysokość ceny. Młodsza chciałaby szybko sprzedać, nie żąda więc wiele, starsza podbija ceny. Inna dziesięciolatka rozłożyła obrusy i komplety pościeli. Na uwagę jednej z kobiet, że tutaj nie wolno sprzedawać nowych rzeczy, zwłaszcza pochodzących z państwowych sklepów, tłumaczy: — *Potrzebujemy pieniędzy. Dostaliśmy nowe mieszkanie. Sprzedaję więc zbędne rzeczy, taniej niż w sklepie, po co mają leżeć w szafie...*

Mężczyźni skupiają się przy stołach na krańcu targowiska. Można tu nabyć rozmaite detale potrzebne majsterkowiczom, akordeon, dziecięce organki. Młody rzeźbiarz amator zachęca do kupna rytych w drewnie portretów. Największe zainteresowanie budzi wyrzeźbiona na wielkiej desce Mona Lisa. Właściciel tłumaczy, że to nie do sprzedania — dama minimalnie podobna do pierwowzoru z dzieła Leonarda da Vinci ma reklamować umiejętności rzeźbiarza.

Za ogrodzonym placem targowym rozłożyli stragany rzemieślnicy z Nowego i Starego Sącza, Marcinkowic. Można wybrać niebrzydkie skórkowe półbuty (po cztery tysiące złotych para), kupić niedawne, lecz wygodne sandały lub eleganckí wełniany płaszcz za dwadzieścia tysięcy złotych. Trykotowe koszulki, sportowe bluzy i wiatrówki takie jak w sądeckich butikach. Niewielu rolników rozkłada tu swoje towary: skrzynki z pomidorami, owocami, warzywa, nabiał. Większy ruch jest na Mańlanym Rynku, tylko ten, kto się spieszy — handluje tutaj; do centrum miasta dość daleko. Nie cieszą się powodzeniem kolorowe glinane kogucikí i polewane garnki sprzedawane przez małą dziewczynkę. Nie widać klientów, którzy chcieliby kupić wykańczane skórą chomąta dla koni, jak zapewnia sprzedawca — miękkie, wygodne, wypełnianie owczą wełną. Zanika targowy folklor.

Do południa na „ciuchach" spory ruch. Jeśli ktoś ma sporo pieniędzy, może skompletować modną garderobę, jeśli nie — musi się zadowolić używanymi, tanimi ubraniami. Ale to nie babcie handlujące starą odzieżą nadają ton targowisku, a coraz częściej młodzi „podróżnicy" wierzący w czarodziejską moc zagranicznych metek na towarach. Oni budzą najwyższe zainteresowanie. Wiedzą, że mimo wysokich cen ludzie kupią poszukiwane rajstopy, dziecięce obuwie, kolorowe tenisówki, zagraniczne przysmaki — rodzynki, kakao, odżywki dla niemowląt przywiezione z Czechosłowacji i NRD. Gdzie jednak, jak nie tutaj mogą znaleźć tanie, choć małoatrakcyjne ubrania czy przyniszczone buty ludzie biedniejsi, zwłaszcza od czasu, gdy w sądeckim komisie przyjmuje się jedynie nowe obuwie, a używane rzeczy trudno sprzedać nawet za grosze?

JEDNO PYTANIE

— Dlaczego Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska „Ziemi Sądeckiej" chce nadmiernie zarobić na producentach pomidorów, płacąc (w drugim tygodniu sierpnia) po 20 złotych za kilogram tych warzyw, a sprzedaje je po 110 złotych w sklepach? — pyta rozżalony sądecki producent.

Kierownik Działu Handlowego Spółdzielni inż. **Władysław Wardęga,** główny specjalista do spraw handlowych wyjaśnia: — Pomidory nadspodziewanie obrodziły w tym roku. Skupujemy każdorazowo około dziesięciu ton, choć na potrzeby handlu (obsługujemy teren byłego powiatu sądeckiego) wystarczyłoby dwie tony. Magazyny są pełne. W naszym województwie brak zakładu produkującego przetwory pomidorowe. Nadwyżki staramy się „upchnąć" w innych regionach. Zakłady nie płacą więcej niż po 50 złotych za kilogram pomidorów, a przecież ponosimy koszty transportu — towar wysyłamy do miejsc odległych o ponad sto kilometrów. W handlu stosujemy ceny ruchome, zmieniane z dnia na dzień. Cena w sklepie nie odpowiada cenie skupu w danym dniu. Dla przykładu: 1 sierpnia płaciliśmy za kilogram pomidorów 180 złotych (w sklepie kosztowały 250 złotych), 4 sierpnia producenci otrzymywali w skupie po 125 złotych za kilogram (w sklepach płacono po 200 złotych za towar, którego część pochodziła jeszcze z zapasów kupownych przez nas po 180 złotych). Dziś natomiast (17 sierpnia), w skupie za kilogram pomidorów można otrzymać 80 złotych, gdy cena sklepowa wynosi 70 złotych. Wyższe ceny uzyskują producenci zawierający kontrakty ze Spółdzielnią, niższe — przypadkowi dostawcy. Oceniając opłacalność produkcji nie można używać jako argumentu niskiej ceny z jednego dnia. Za każdym razem jest inna. Z początkiem lipca płaciliśmy za pomidory 360 złotych za kilogram, wcześniej — jeszcze więcej. Dzięki ruchomym cenom rynek owocowo-warzywny funkcjonuje prawidłowo. Musimy godzić własny interes z interesami klientów i producentów.

Chciałbym zaapelować do wszystkich uprawiających warzywa i owoce: kontraktacja upraw ze Spółdzielnią to dobry sposób na bardziej przemyślane ustawienie produkcji i zapewniony zbyt. Zawieramy umowy kontraktacyjne na każde ilości owoców i warzyw gruntowych.

L.K.

proszę o głos

W związku z artykułem red. Anny Szopińskiej pt. „Woda obiecana" (z 7 sierpnia br.) pragnę zabrać głos w przedmiotowej sprawie, gdyż w artykule tym podano szereg sformułowań takich, które są oczywistą nieprawdą, całkowicie wypaczającą stan faktyczny.

Dziwić się należy, że red. Anna Szopińska, która temat ten podejmuje nie pierwszy raz, nie sięgnęła po wiadomości „z pierwszej ręki". Nie pierwszy to przypadek, że informacji dla prasy na temat wykorzystania wody termalnej udzielają różne instytucje, organizacje i organy z Zakopanego i Nowego Targu, z całkowitym pominięciem władzy terenowej, na której terenie znajduje się odwiert. Dlatego też opinii publicznej „serwowano" wiele sprzecznych z prawdą informacji, wynikających bądź z braku rozeznania tematu, bądź z chęci „urobienia" opinii publicznej.

Dziwić musi sformułowanie red. Anny Szopińskiej — że administracja białodunajeckiej gminy nie wykazuje zainteresowania sprawą, skoro w dalszej części artykułu stwierdza, że nawet władz wojewódzkich nie stać na podjęcie tego tematu z braku środków. Dlatego należy zadać pytanie: — Co może zrobić władza białodunajeckiej gminy z kilkumilionowym budżetem?

Zgodnie z decyzją wojewody, wiodącym w sprawie wykorzystania wód termalnych jest dyrektor RPGK w Nowym Targu — mgr inż. St. Sopiarz. Wszystkie tematy są wspólnie konsultowane z zainteresowanymi organami. Moim zdaniem nie zachodzi potrzeba, aby każda jednostka administracyjna prowadziła działania na „własną rękę", gdyż byłoby to sprzeczne z decyzją wojewody.

Następna błędna informacja dotyczy lokalizacji kolejnego odwiertu w Białym Dunajcu, mającego służyć jako odwiert wtłaczający. W oparciu o propozycje lokalizacyjne przedstawione przez Kierownika Zakładu Podstaw Gospodarki Surowcamu Mineralnymi i Energią PAN w Krakowie, prof. J. Sokołowskiego — wybrano jeden z najmniej uciążliwych dla mieszkańców wsi Biały Dunajec (konieczność zachowania strefy ochronnej — minimum 100 m). Faktem jest, że został on zlokalizowany na prawym brzegu potoku Biały Dunajec, poza linią zabudowy. Jedynym problemem była konieczność uzyskania zgody odpowiednich władz na urządzenie brodu dla przewiezienia sprzętu wiertniczego. Nie wpław, a samochodami. Red. Anna Szopińska nie widziała chyba jak wygląda obecnie potok Biały Dunajec. Jest to potok, który bez problemu można przejść „suchą nogą", a zatem urządzenie brodu nie nastręcza żadnego problemu (z uwagi na małą nośność mostu na drodze wojewódzkiej relacji Biały Dunajec — Gliczarów Górny). Równie nieprawdziwą jest informacja, że miał on się znajdować w odległości „kilkuset metrów" od ujęcia wodnego dla Nowego Targu. Faktycznie bród ten będzie zlokalizowany w odległości około 8 km od ujęcia, gdyż Wojewódzki Inspektorat Sanitarny postanowieniem z 4.08.88 r. wyraził zgodę na jego urządzenie, i aktualnie nie ma żadnych przeszkód, aby rozpocząć prace związane z wykonaniem odwiertu w Białym Dunajcu. W tej sprawie 5 sierpnia w Urzędzie Gminy w Białym Dunajcu odbyła się narada z udziałem Kierownika Zakładu Podstaw Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN, prof. J. Sokołowskiego, posła na Sejm Władysława Sawickiego, naczelników Nowego Targu i Zakopanego, dyr. RPGK Nowy Targ mgr inż. St. Sopiarza i władz gminy Biały Dunajec, na której podjęto decyzje odnośnie niezwłocznego rozpoczęcia prac wiertniczych w Białym Dunajcu.

Naczelnik gminy
mgr ANTONI WILK

Od redakcji: Informatorzy autorki artykułu „Woda obiecana" są wymienieni w tekście jej publikacji (również „wiodący" w tej sprawie dyr. Sopiarz). Nikt z nich nie nadesłał sprostowania. A zatem chyba nie red. Szopińska przeinacza fakty. W przyszłości będziemy zatem zasięgać języka także u naczelnika gminy Biały Dunajec.

Dziękujemy za szybką reakcję na naszą publikację

*

W odpowiedzi na krytyczne zarzuty dotyczące małych nadziałów prasy w sezonie letnim w kiosku „Ruchu" w Żegiestowie-Wsi (pisał o tym nasz Czytelnik z Krakowa, **Lucjan Zuzia**, podając w oparciu o informację kioskarza, iż docierają tam zaledwie 3 egz. „Dunajca" i po jednym egzemplarzu „Tempa", „Przeglądu Tygodniowego" i „Życia Literackiego") replikuje dyr. Oddziału RSW **Mieczysław Piecuch**, przedstawiając zróżnicowanie nadziałów prasy (zima-lato 1988 r.) i faktyczną ich wielkość:

„Dunajec" styczeń nadział od 20 do 30 egzemplarzy, czerwiec — 23 — 28, lipiec 28 32, sierpień — (nr 32) — 50 egz. „Tempo": styczeń nadział 3 — 6 egzemplarzy, czerwiec 3 8, lipiec — 3 10, sierpień 9 — 14. „Przegląd Tygodniowy": styczeń nadział — 4 — 5 egzemplarzy, czerwiec 4 7, lipiec — 7, sierpień — 7 egz. „Życie Literackie": styczeń nadział 3 6 egzemplarzy, czerwiec 1 2, lipiec 2 3, sierpień 8 egz.

Na podstawie powyższych faktów stwierdzam, że informacja prasowa Lucjana Zuzi z Krakowa jest całkowicie błędna i domagam się sprostowania.

Zaprosili nas

● Biuro Organizacyjne na XXVII Jesień Tatrzańską i XX Międzynarodowy Festiwal Folkoru Ziem Górskich w Zakopanem:

● Galeria Biura Wystaw Artystycznych w Zakopanem na wystawę rzeźby Antoniego Grabowskiego i malarstwa Ireneusza Września otwarcie w sobotę 3 września o godz. 12;

● Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Koło Tatrzańskie na IV Aukcję Podhalańskiej Sztuki Ludowej;

● Gminny Ośrodek Kultury w Bobowej na dożynki.

● Zarząd Krynickiego Towarzystwa Fotograficznego w Krynicy na wystawę fotogramów Ireny Gałuszki z Rzeszowa pn. „Libia dzień powszedni" ekspozycja czynna do końca sierpnia w Pijalni Głównej;

● Państwowa Szkoła Muzyczna w Nowym Sączu na koncert dla młodzieży NRD;

Warto wiedzieć, że...

Rady narodowe ustawodawca wyposażył w nowe uprawnienia i możliwości. O plany, refleksje i zamiary na okres kadencji zapytałem przewodniczących 3 rad narodowych stopnia podstawowego.

MAREK RUSIN — przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Nowym Targu:

— Zgodziłem się na kandydowanie do MRN a następnie objęcie funkcji przewodniczącego, gdyż chciałem sprawdzić samego siebie. Lubię ryzyko. Byłem radnym MRN poprzedniej kadencji, zawsze interesowałem się zagadnieniami prawa państwowego, a z problematyką Sejmu i rad narodowych zetknąłem się na studiach prawniczych, z tego też zakresu napisałem i obroniłem pracę magisterską. Ponadto uważam, że nowe rozwiązania systemowe najlepiej jest sprawdzić na sobie. Wydaje mi się, że potrafię coś pożytecznego zrobić dla Nowego Targu. W mieście mamy zakłady i przedsiębiorstwa, które część swojego zysku odprowadzają poza miasto. Środki te gdzieś są dzielone i powracają w postaci dotacji. Przecież drogę tę można znacznie skrócić, zaoszczędzić na armii urzędników i powiązać radę narodową z przedsiębiorstwami działającymi na jej terenie. Osobiście optuję za pełnym samorządem dla rad narodowych. Nowy zapis konstytucyjny o własności komunalnej, zmiany ustawy o radach narodowych oraz zapowiedź kompleksowej regulacji nowej formy własności, napawają optymizmem. Nasza rada weszła w nową ksdencję z tymi samymi problemami, które od szeregu lat nurtują miasto. Powstaje pytanie, czy nowa rada będzie miała wpływ na rozwój budownictwa mieszkaniowego, budowę szpitala, budowę nowych ujęć wody pitnej? Do tej pory te podstawowe problemy miejskie są jakby oderwane od rady miejskiej, gdyż wszelkie decyzje zapadają o szczebel wyżej. Niezależnie od przyszłych rozwiązań radni muszą te tematy zgłębić i dążyć do ich rozwiązania. Zbliżamy się do gazyfikacji miasta, która znowu spowoduje rozkopanie ulic i utrudnienia komunikacyjne. Ochrona środowiska naturalnego, poprawa zaopatrzenia i organizacji handlu, sprawy kultury tematów jest bardzo wiele, a przy konstruowaniu programu pracy rady na całą kadencję postaramy się je usystematyzować i ustalić priorytety. Wielką szansą na usamodzielnienie rad będzie przekazanie pod ich zarząd mienia komunalnego. Spodziewam się, że część mienia państwowego znajdującego się w mieście stanie się własnością komunalną, którą dysponować będzie rada narodowa. Środki wypracowane przez te jednostki gospodarcze pozostaną w mieście. Jest więc nadzieja, że miejska kiesa będzie cięższa, a od operatywności MRN zależeć będzie stan dochodów miejskich. Do realizacji wytyczonych zadań będziemy się starać angażować całe społeczeństwo Nowego Targu. Mieszkańcy naszego miasta, gdy widzą sensowność działania, chętnie udzielają pomocy, ale wszelki zapał można zniweczyć przez nierozsądne posunięcia. Gdy spotykam mieszkańców Kowańca, to chcą oni wiedzieć, dlaczego po paru latach od remontu głównej ulicy, kopie się tam głębokie dziury, aby uszczelniać rury wodociągowe. Przecież można to było zrobić za pierwszym razem. Mieszkańcy ulicy Wojska Polskiego ze zdziwieniem obserwują, że przy budowie szkoły średniej, najpierw samochody wywoziły ziemię z wykopu, a teraz z powrotem ziemię przywożą. Pytają, kto za to płaci? Takich przykładów mógłbym podać więcej, irytują one ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że to oni w końcu zapłacą za złą organizację pracy i brak wyobraźni. Samorządy osiedlowe, samorządy spółdzielni mieszkaniowej skupiają grupę aktywnych działaczy, wskazujących na niedociągnięcia w pracy administracji miejskiej, przedsiębiorstw czy spółdzielni.

FRANCISZEK SENTYRZ — przewodniczący Rady Narodowej Miasta i Gminy w Mszanie Dolnej:

Jestem bezpartyjnym działaczem społecznym, przez trzydzieści lat służyłem zawodowo w wojsku. Powierzenie mi na drugą kadencję funkcji przewodniczącego zobowiązuje do jeszcze aktywniejszej pracy na rzecz środowiska. Moją ambicją jest przede wszystkim ukończenie rozpoczętej w 1986 r. gazyfikacji Mszany Dolnej. Myślę, że w przyszłym roku zapalimy gaz. Chcę maksymalnie pomóc wiejskim komitetom gazyfikacyjnym. W Kasince Małej mają już pełną dokumentację i rozpoczęli układanie rur, w przyszłym roku ruszą prace gazyfikacyjne w Mszanie Górnej. Zleciliśmy opracowanie dokumentacji dla Raby Niżnej i Olszówki. Również pozostałe wioski mają już powołane komitety gazyfikacyjne, otwarte konta w banku i sporą ilość zebranych wśród mieszkańców pieniędzy. Innym ważnym przedsięwzięciem będzie przyspieszenie tempa budowy osiedla „Krakowska", gdzie ma powstać docelowo 560 spółdzielczych mieszkań, w tym 160 do 1992 r. Teraz zbroimy teren, budujemy drogi i gromadzimy materiały, by jeszcze w br. zbudować pierwsze fundamenty pod przyszłe bloki. Chcemy też szybko doprowadzić do rozdzielenia w Mszanie Dolnej 100 działek pod budownictwo indywidualne, mamy przeznaczony na ten cel teren. Podejmujemy starania, by sfinalizować scalanie gruntów, bo nie brakuje w naszej gminie 4-

Z PRACY SĄDÓW

Wpierw były piwa, których sześć, może siedem, wypił Roman K. po pracy z kolegami w lokalu „Rabianka". Drogę do Raby Wyżnej, gdzie zamieszkiwał, odbył motorowerem. Zanim jednak dotarł do domu, opróżnił z napotkanym szwagrem, Władysławem L., pół litra wódki, po czym już wspólnie kontynuowali przejażdżke... dopóki na drodze nie stanął im milicyjny „gazik".

Samochodem kierował i patrolował okolicę funkcjonariusz MO Paweł M. Zatrzymał motorowerzystów — których zresztą znał — i stwierdził, że dalej nie pojadą. Gwarancją spełnienia tej decyzji będzie wykręcenie z kół wentyli. Wtedy Roman K. usłużnie zaoferował, że sam to zrobi. Kiedy obaj — motorowerzysta i milicjant — pochylili się nad pojazdem, doszło do szamotaniny, w której zatrzymany stracił ząb. Nie tylko zresztą, bo chyba uszczerbku doznała też jego męska godność, jako że skwitował swoją klęskę płaczem. Zdenerwowany milicjant skuł delikwenta, zapakował do samochodu i zawiózł na posterunek.

Na posterunku Roman K. znalazł się pod kluczem. Nie na długo jednak, bo po 15 minutach Paweł M. zadecydował, że złożą wizytę w ośrodku zdrowia. Ponownie więc znaleźli się w samochodzie i ruszyli w drogę. W czasie jazdy milicjant poinformował Romana K., że jeżeli będzie się zbyt natarczywie upominać o swój ząb, to milicjant wytoczy zatrzymanemu sprawę o napaść na funkcjonariusza MO. W ośrodku zdrowia dokonano oględzin szczęki poszkodowanego. Ząb, chociaż ukruszony, nie wymagał usunięcia. Skończyło się więc na pobraniu krwi od podchmielonego motorowerzysty. Paweł M. zaś wykazał przy końcu zajścia ludzkie podejście do zatrzymanego, bo zwolnił go, a nawet odwiózł do domu.

Kiedy Roman K. wytrzeźwiał i przebudził się następnego dnia — zrozumiał, iż napytał sobie biedy i może mieć kłopoty. Z troski zwierzył się szwagrowi i kolegom w pracy. Wszyscy orzekli, iż najlepiej będzie gdy ulokuje w kopercie 10 000 złotych, wręczy ją Pawłowi M. i porozmawia z nim. Nazajutrz Roman K. zjawił się na posterunku. Rozmowa przebiegła pomyślnie i zakończyła się u rodziców Pawła M. przy dwóch butelkach wódki. Najprawdopodobniej cała sprawa na tym by się skończyła, gdyby Roman K. nie obwieścił wszystkim, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Kiedy informacja o przekupstwie dotarła do przełożonych Pawła M., ci ostro zabrali się do rzeczy. W stan oskarżenia o wzięcie łapówki postawiony został funkcjonariusz, dawca również miał odpowiadać przed sądem.

Pierwsza rozprawa odbyła się w kwietniu br. Paweł M. nie przyznał się do wzięcia pieniędzy. Przeciwko niemu jednak świadczyły fakty i pokrętne zeznania składane w czasie dochodzenia. Twierdził on początkowo, że nie pobierał od Romana K. krwi do analizy. Zaprzeczyli temu lekarz i pielęgniarka z ośrodka. Ampułka jednak zaginęła. Zaginął też notatnik służbowy Pawła M., gdzie powinna być wzmianka o zajściu. Nie został również sporządzony wniosek do kolegium karno-administracyjnego. Ferując wyrok sąd rozważył, że obwiniony ma rodzinę (trójkę dzieci) i wziął pod uwagę stosunkowo niską kwotę łapówki. Z drugiej strony przestępstwa dopuścił się funkcjonariusz instytucji powołanej do ścigania takowych. Dlatego skazał go na 1 rok pozbawienia wolności, 150 tys. złotych grzywny z zamianą na 5 miesięcy więzienia. Sąd zadecydował również o podaniu wyroku do wiadomości publicznej, przez umieszczenie go na tablicy ogłoszeń Urzędu Gminnego w Rabie Wyżnej. Zakazał też Pawłowi M. pracy w organach ścigania przez 5 lat. Sąd Wojewódzki na rozprawie rewizyjnej utrzymał ten wyrok w mocy.

Roman K. zaś, który również stanął przed sądem, uznany został winnym przekupstwa, lecz odstąpiono od wymierzenia mu kary. Przyjęto, że wyrażona skrucha i przyznanie się do winy uzasadniają taki wyrok.

JERZY LIPOWSKI

KRONIKA MILICYJNA

W Piekielniku złodziej dostał się do mieszkania Józefy M. Otworzył je podrobionym kluczem. Skradł 250 tys. złotych. W Czorsztynie, w trakcie kradzieży motocykla, zatrzymany został 18-letni Jarosław W. z Katowic. W Korzennej włamano się do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Straty oszacowano na 128 tys. złotych. W Limanowej po wyłamaniu drzwi na zapleczu, dostał się do sklepu spożywczego 30-letni Władysław M. Zabrał 60 butelek wódki. Milicja ujęła sprawcę, a alkohol odzyskano. Obywatelka NRD, Anje M., zgłosiła MO w Zakopanem kradzież portmonetki z 28 tys. złotych i 200 markami. W Krynicy do „trabanta" Horsta O. z NRD włamali się złodzieje, kradnąc kurtkę wartości 20 tys. złotych. Zakopiańscy milicjanci „zdziesiątkowali" kieszonkowców — w jednym dniu zatrzymali na gorącym uczynku: 15-letnią Renatę G. z Bytomia, 30-letnią Rozalię I., również z Bytomia, dwóch mieszkańców Tarnowa, 39-letnią Elżbietę S. i 19-letniego Romana G. oraz 20-letniego Grzegorza B. z Bruzdawy.

W Jabłonce 23-letni Tadeusz Z., kierując motocyklem „CZ-350", potrącił pieszego, 77-letniego Eugeniusza D. Ofiara wypadka zmarła w szpitalu. W ciągu jednego tylko tygodnia na drogach naszego województwa wydarzyło się ponad 50 wypadków i kolizji. Stwierdzono również, iż 51 kierowców spośród kontrolowanych prowadziło pojazdy po spożyciu alkoholu.

W Ropie, w czasie naprawiania dachu na własnych zabudowaniach, spadł na ziemię 66-letni Antoni M. Poniósł śmierć na miejscu.

W Ptaszkowej 44-letni Jan. P., prowadząc ciągnik polną drogą, wjechał na skarpę. Pojazd przewrócił się i przygniótł kierowcę, powodując śmiertelne obrażenia. W Piorunce, w czasie karczowania lasu również wywrócił się ciągnik, kierowany przez 22-letniego Jana G. W tym przypadku skończyło się na kontuzji. W Żegiestowie, przebywająca tam na wczasach obywatelka NRD, Ingrid S., lat 49, wypadła oknem z II piętra. Doznała ciężkich obrażeń ciała. W Piwnicznej 65-letnia Zofia B. przechodziła przez tory, kiedy nadjechał pociąg, kobieta dostała się pod koła, tracąc obie nogi.

L-ki

KTO — KIM?

Anna MIGDAŁOWA — rodem z Łańcuta, lekarz pediatra, absolwentka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1905 roku mieszka na stałe w Nowym Sączu; w okresie międzywojennym zwalczała epidemię tyfusu plamistego na kresach wschodnich; podczas kampanii wrześniowej 1939 służyła w szeregach lekarzy wojskowych; po wyzwoleniu ordynator (w randze majora) sanatorium wojskowego w Rabce, współorganizatorka służby zdrowia w Nowym Sączu, zakładała m.in. pierwsze żłobki; niedawno — z okazji 90 rocznicy urodzin uhonorowana Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; cieszy się dobrym zdrowiem, czyta gazety i słucha muzyki fortepianowej.

Bronisław NIEMASZYK — lat 64, pochodzi z Libuszy z rodziny wiertników naftowych; magister ekonomii, studia podyplomowe z zakresu organizacji i zarządzania; pracę zawodową rozpoczął w kopalnictwie naftowym, od 1960 roku w Rafinerii Nafty „Glimar" w Gorlicach (obecnie jako dyrektor naczelny); działacz społeczny: przewodniczący Głównej Komisji Rewizyjnej Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Naftowego i Gazowniczego, prezes ZBoWiD w Gorlicach, członek PZPR; odznaczony ostatnio Orderem Sztandaru Pracy II Klasy i Krzyżem Partyzanckim (był partyzantem Armii Ludowej); hobby — ogrodnictwo, pszczelarstwo; żona Anna — długoletnia pracownica Rafinerii, dwie córki: Wiesława — inżynier, Halina — nauczycielka fizyki i chemii.

Roman REINFUSS — lat 78, rodem z Przeworska, profesor etnografii, absolwent wydziałów Prawa i Humanistycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego; autor wielu prac naukowych z zakresu etnografii krajów karpackich, ludowej sztuki plastycznej i folkloru; po raz dwudziesty przewodniczy jury Międzynarodowego Festiwalu Ziem Górskich w Zakopanem; Zasłużony Działacz Kultury, członek partii i Narodowej Rady Kultury, Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, PTTK; odznaczony Krzyżami — Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; w wolnym czasie zajmuje się fotografiką, ogrodnictwem, sadownictwem, a także kolekcjonuje dzieła sztuki ludowej; żonaty, dwie córki.

Danuta REJDYCH — magister romanistyki, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, w Zakopanem od trzydziestu lat, kierowała zakopiańskim Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki; współautorka słynnych szopek góralskich i tekstów kabaretowych, organizatorka imprez kulturalnych i spotkań z interesującymi ludźmi; właśnie zapina na ostatni guzik przygotowania do rozpoczynającego się na początku września XX Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem, od ponad 10 lat jest dyrektorem festiwalowego biura; odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski; hobby — turystyka tatrzańska, narciarstwo, zabawa z czwórką wnucząt; syn Janusz — rzemieślnik.

-hektarowych gospodarstw rozdrobnionych na 40 kawałków. Może to mało realne, ale będę się dobijał o budowę szpitala w Mszanie Dolnej, gdyż do Limanowej mamy 30 kilometrów, a w Rabce szpital jest bardzo przeładowany. Tymczasem przygotowujemy się do budowy ośrodka zdrowia w Rabie Niżnej, który służyłby również mieszkańcom Olszówki. Zbudowaliśmy w stanie surowym ośrodek zdrowia w Kasinie Wielkiej, teraz musimy szukać środków finansowych na jego wykończenie. Jest potrzeba budowy ośrodka zdrowia w Kasince Małej. W Łostówce budujemy remizę strażacką wraz ze sklepem, a w Łętowem szkołę. 1 września br. będzie oddana dzieciom piękna nowa szkoła w Kasince Małej, z salą gimnastyczną i pełnym wyposażeniem. Budujemy wodociąg dla Mszany Dolnej, bo część miasta go nie posiadała, zbudowano już główny rurociąg, trwa budowa ujęć wodnych. Sprawą palącą jest budowa w Mszanie Dolnej kanalizacji i połączenie jej z głównym kolektorem, bo na dniach nastąpi rozruch oczyszczalni ścieków. Marzy mi się budowa obwodnicy, aby wyprowadzić ruch tranzytowy z centrum miasta, ale w najbliższych latach jest to nierealne. Chciałbym, by Mszana pozostała miejscowością turystyczno-rekreacyjną, by nie lokalizowano tu zakładów uciążliwych dla środowiska. Trzeba uwielobranżowić nasz handel, wprowadzić do miasta WPHW oraz „Społem", bo konkurencja dobrze zrobiła naszej GS. Sprawa ta rozbija się jednak o brak lokali. Jeszcze w br. limanowska Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska otworzy w Mszanie sklep nasienno-warzywniczy. Myślimy razem z naczelniczką, Stefanią Wojciaczyk, że niezbędne staje się powołanie przy Urzędzie Miasta i Gminy brygady remontowo-budowlanej, bo w ten sposób można by znacznie przyspieszyć realizację wielu inwestycji. Mamy też ogromne potrzeby w zakresie budowy i remontów dróg dojazdowych do pól. Wiele robimy tu w czynie społecznym, lecz brakuje pieniędzy na popieranie tego typu inicjatyw w większym niż dotychczas stopniu. Jako rada narodowa, będziemy wspierać procesy reformowania gospodarki. Myślę, że atestacja nie przyniosła spodziewanych efektów, polityka płacowa wciąż nie wymusza wysokiej wydajności pracy, a w przedsiębiorstwach i spółdzielniach zbyt rozbudowana jest administracja. Przy efektywnym systemie płacowym można by również uszczuplić kadrowo administrację państwową.

RYSZARD GONCZOWSKI — przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Kamionce Wielkiej:

— Na 25 radnych naszej GRN — 16 piastuje mandat po raz pierwszy. Wszyscy radni są ludźmi aktywnymi w swoich środowiskach, mają autorytet. Jest to gwarancją, że potrafimy kontynuować dynamiczny rozwój gminy. Kontynuacja rozpoczętych oraz podejmowanie nowych zadań wymaga znacznych środków finansowych. Jesteśmy małą gminą, bez większych zakładów pracy, a więc i nasza kiesa nie jest zbyt zasobna. Musimy zabiegać o środki, nawet prosić o nie. Mamy jednakże ważny atut — piękne tereny, stosunkowo czyste jeszcze rzeki, wspaniałe lasy. Wielu potentatów przemysłowych szuka u nas obiektów na kolonie i terenów pod budowę ośrodków wypoczynkowych. Przykładem mogą być Zakłady Mechaniczne z Tarnowa, które za kwotę 140 milionów złotych rozbudują Szkołę Podstawową w Królowej Górnej, zbudują 10 domków campingowych wokół niej, pełne zaplecze kuchenne, salę gimnastyczną, basen kąpielowy, sztuczne lodowisko, 3 mieszkania dla nauczycieli oraz oczyszczalnię ścieków — po to tylko, by ulokować w tym pięknym zakątku kolonię dla dzieci swoich pracowników. Trwa remont kapitalny i rozbudowa szkoły w Jamnicy, czeka na rozbudowę szkoła nr 1 w Kamionce Wielkiej. Tu też będziemy szukać finansowego wsparcia u organizatorów kolonii. O budowie nowej szkoły marzą mieszkańcy Mszalnicy i Boguszy. Musimy tym ambicjom wyjść naprzeciw. Poprawy wymaga stan bazy lokalowej przedszkoli, bo niektóre z nich zlokalizowane są w prywatnych budynkach. Musimy znaleźć środki na wykończenie zbudowanego przez „Konspol" w stanie surowym dużego przedszkola w Kamionce Górnej. W Królowej Górnej przystąpiono do budowy wielofunkcyjnej remizy strażackiej wraz z świetlicą wiejską i przedszkolem. Wydzielono już działkę, a strażacy w czynie społecznym produkują pustaki. Chcemy w najbliższym czasie położyć nawierzchnię bitumiczną na drodze z Kamionki do Mystkowa, by mieszkańcy tej wsi oraz sąsiedniej Mszalnicy nie musieli jeździć do stolicy gminy przez Nowy Sącz. W miarę posiadanych środków finansowych oraz zaangażowania mieszkańców będziemy poprawiać stan dróg osiedlowych oraz dojazdowych do pól. Bardzo ważnym zadaniem jest modernizacja łączności telefonicznej, bo jej stan jest fatalny. Staramy się o zakup i zainstalowanie nowoczesnej centrali telefonicznej o pojemności 200 numerów. Przymierzamy się do budowy wielofunkcyjnego budynku dla poczty, posterunku MO, Gminnego Ośrodka Kultury. Marzy nam się zbudowanie przekaźnika telewizyjnego dla odbioru II programu. Kończymy ogromne przedsięwzięcie, jakim była gazyfikacja gminy. Zgazyfikowaliśmy już Mszalnicę, Mystków, Kamionkę Małą i częściowo Kamionkę Wielką. Są możliwości zgazyfikowania pozostałych wsi, ale po rozbudowaniu stacji redukcyjnej w Ptaszkowej. Kolejnym ważnym problemem do rozwiązania jest uregulowanie gospodarki wodno-ściekowej. Zamierzamy etapami zbudować trzy kontenerowe oczyszczalnie ścieków w Kamionce, później podobne w Boguszy, Królowej Górnej i Królowej Polskiej oraz w Mystkowie i Mszalnicy. Rozbudowie poddamy gminny ośrodek zdrowia, budujemy stadion sportowy, stworzymy też w najbliższych latach w Kamionce Górnej ośrodek sportów zimowych. Aby te ambitne zamierzenia zrealizować będziemy — wykorzystując nowe uprawnienia rad — poszukiwać środków finansowych oraz nowych, niekonwencjonalnych metod działania.

ROMAN KOSTANECKI

Proszę o głos

Żyć bez wody?

Jako inwalida I grupy, nieuleczalnie chory, powstaniec warszawski, żołnierz 1939 roku — zwracam się o pomoc. Posiadam dom letniskowy w Rożnowie-Wiesiółce. Od 1976 roku pobieram wodę na podstawie umowy zawartej między ówczesnym właścicielem terenu a Przedstawicielem grupy użytkowników 11 domów, w której ja też jestem. Właściciel terenu za zezwolenie na pobór wody otrzymał zapłatę i rzecz najważniejszą — doprowadzenie wody z osobnego zbiornika przelewowego do dużo wyżej położonego swojego domu. Koszt i wysiłek zbudowania ujęcia wody, zbiorników retencyjnych — w tym osobnego dla właściciela terenu, doprowadzenie wody agregatem pompowniczym do jego domu, ułożenie w ziemi ok. 320 mb rur — był ogromny.

Ujęta i rozprowadzona rurami woda stała się ponętnym i pożądanym artykułem. Nowy właściciel terenu (spadkobierca poprzedniego) zburzył przez nas zbudowane ujęcie wodne, budując nowy, duży zbiornik. Jak się okazało, bez zgody właściwych władz i całkowicie niezgodnie z zasadami sanitarnymi. Podłączył do niego dużą ilość nowych kontrahentów pragnących pobierać wodę, a ostatnio — w lipcu br. — zbudował trzy nowe duże zbiorniki dla potrzeb ośrodka wczasowego i przepompowuje teraz wodę do nich za pomocą rurki gumowej, powodując brak dopływu wody do naszego wodociągu.

Pozbawianie nas wody trwa już trzeci rok. Sprawa znana jest Urzędowi Wojewódzkiemu, Prokuraturze i Sądowi w Nowym Sączu.

Ostatnio — 17 maja br. Sąd Wojewódzki wydał wyrok nakazujący nam odłączenie się od wody twierdząc, że umowa zawarta w 1975 roku jest nieważna, bo nie notarialna. Nie uznał nawet naszego prawa do odszkodowania za poniesione koszty budowy ujęcia i doprowadzenie wody do domu poprzedniego właściciela. Nie uwzględnił też przesłanek społecznych (art. 5 kodeksu cywilnego), a w uzasadnieniu napisał między innymi: *Zauważyć w końcu wypada i tę dodatkową, przemawiającą przeciwko stosowaniu art. 5 kc okoliczność wyeksponowaną w rewizji, że dla pozwanego sprawa dostępu do wody to jedynie utrudnienie w korzystaniu z wypoczynku w domku letniskowym, zaś dla powodów prowadzących gosodarstwo rolne, to sprawa zasadnicza.*

Cóż za okrutna pomyłka! Przecież właściciele terenu — małżeństwo W. i E.M. pracujący aktualnie na państwowych posadach (także na robotach eksportowych) mają wodę w pierwszej kolejności i w olbrzymiej ilości około 400 litrów na godzinę, bo tak zbudowaliśmy ujęcie wodne, by najpierw zaopatrywane w wodę było gospodarstwo (trzy i pół hektara), a to co zbywa i przeleje się z ich zbiornika — było do naszej dyspozycji. Czy Sąd nie czytał opinii biegłych załączonych do akt sprawy? Czy nie był na wizji lokalnej?

Podbudowany takim wyrokiem nowy właściciel poczyna sobie bezkarnie, pozbawiając nas raz po raz wody, nie bacząc na obowiązujące w tej materii przepisy egzekucyjne. 6 sierpnia br. zostałem ponownie pozbawiony dopływu wody i w sprawie tej Przedstawiciel naszej grupy złożył odpowiednie pisma do Prokuratury w Nowym Sączu, a mimo to 13 sierpnia br. znowu nie było wody.

Biegły do spraw wodnych w 1987 roku w swojej opinii pisze: *Biegły nie wchodzi w przyczyny nieskuteczności działań instytucji i organów rozpoznających sprawę. Fakty jednak przemawiają za nieskutecznością tych działań, gdyż ob. W.M. rozszerza swoje niezgodne z prawem działania i dopuszcza się dalszych dewastacji istniejących urządzeń i posuwa się nawet do faktu całkowitego odcięcia dopływu wody, co stwierdziłem 11 kwietnia 1987 roku.*

Co robić dalej? Większość z naszej grupy mieszkańców 11 domów to ludzie starzy, chorzy, inwalidzi wojenni, kombatanci, byli więźniowie obozów hitlerowskich. Nasz Przedstawiciel i jedyny obrońca, pan. J., jak widać nie za wiele już może zdziałać. Jest bezsilny.

Może Wy, Szanowna Redakcjo, możecie pomóc, bo odcięcie nam wody równa się z wysiedleniem nas stąd.

JAN MICHALIK

Od redakcji: Słowa o bezprawnej budowie nowego zbiornika nie są bynajmniej wyssane z palca. Wypowiedziała się w tej sprawie mgr inż. Krystyna Petryszak — kierownik nadzoru zapobiegawczo-inwestycyjnego Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej:... *przedmiotowe ujęcie wody nie może być aktualnie eksploatowane z uwagi na brak dokonania odbioru technicznego.* A dalej: ...*ujęcie nie nadaje się do eksploatacji (brak zabezpieczenia strefy bezpośredniej), a także wykonano dodatkowe 3 ujęcia wody dla Ośrodka Wczasowego Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynieryjnych z Krakowa, które są wykonane bez uzgodnień. Stan ujęć katastrofalny*... (pismo z 20.07.1988.)

Sprawa druga: czy właściciel terenu, na którym znajduje się ujęcie, może samowolnie odłączyć dopływ wody części jego użytkowników? Owszem, wyrok sądowy nakazuje tymże użytkownikom odłącznie się od ujęcia, ale dotychczas egzekucja tego postanowienia nie została zalecona, a samo postanowienie jest zaskarżone przez użytkowników 11 domków i wobec tego jego wykonanie powinno być wstrzymane.

I wreszcie pytanie: czy rzeczywiście wolno pozbawić wody 11 domków zajmowanych w większości przez ludzi starych, schorowanych, którzy w dodatku włożyli swój trud i fundusze w budowę ujęcia, a jedynie nie zadbali o formalne — notarialne — potwierdzenie swych praw do niego?

Fot. STANISŁAW KACHEL

Piszą do nas

● Czytelniczka ze Starego Sącza wypomina nam, że wiosną chwaliliśmy tamtejszą „Samopomoc Chłopską", a tymczasem w sklepie na osiedlu „Słoneczne" nie widać ani zaradności handlowców Gminnej Spółdzielni, ani nawet troski o przyzwoite zaopatrzenie. Obiecujemy po wakacjach odwiedziny w starosądeckich sklepach.

● Anonimowy Czytelnik zapytuje: *Dlaczego PKS nie uruchomi kursów z Mszany Dolnej do Myślenic (przez Lubień i Pcim)? Przecież jest to trasa uczęszczana przez mnóstwo ludzi. Wielu korzysta obecnie z okazji — w obu miejscowościach widać spory tłum wyczekujących. Odległość między tymi miastami wynosi 22 km — jak długo będziemy się męczyć? Jeśli PKS-u nie stać na obsługę tej linii zwykłymi autobusami, to może zajmie się tym inna firma? Uprzejmie proszę o wyjaśnienie.*

● Mgr **Piotr Krok** w imieniu sądeckiej spółdzielni spożywców „Społem" odpowiada na te fragmenty reportażu Stefana Ciepłego, które dotyczyły PSS:

1. W następstwie pożaru, który zniszczył całkowicie punkt gastronomiczny „Smaczek", w kwietniu br. przeprowadzany tam był remont kapitalny. Z uwagi na konieczność gruntownej wymiany instalacji elektrycznej, wodociągowej, kanalizacyjnej, maszyn i urządzeń oraz dokonania niezbędnych pomiarów energetycznych i odbioru przez komisję p. poż., energetyczną, Stację Sanitarno-Epidemiologiczną — remont trwał do 23 lipca. Obecnie placówka ta prowadzi już pełną działalność handlową.

2. Punkt gastronomiczny na Plantach prowadzi działalność handlową od 1980 r. w tym samym pawilonie. Asortyment sprzedaży był kilkakrotnie zmieniany — od placków ziemniaczanych i frytek (które wg oceny Komitetu Osiedlowego zanieczyszczały środowisko) poprzez słodycze paczkowane, napoje chłodzące i lody z automatu (które nie cieszyły się popytem) po pączki. Produkcja i sprzedaż pączków na potrzeby własne, sieci detalicznej i bufetów szkolnych prowadzona jest w punkcie od 1988 r. Spółdzielnia nie ma możliwości uruchomienia na terenie Plant zakładu gastronomicznego z ogródkiem sezonowym, obsługą kelnerską i działalnością rozrywkową z uwagi na brak środków inwestycyjnych. Ponadto oddalona o ok. 100 m restauracja „Imperial" zaspokaja potrzeby na tego rodzaju usługi.

Informujemy, że na Plantach w pobliżu kiosku znajdowały się altanki z miejscami siedzącymi, które zostały całkowicie zdewastowane, w związku z czym altanki zdemontowano montując w tym miejscu niskie ławeczki, które umożliwiają konsumpcję pączków i napojów chłodzących poza placówką. Na miejscu w punkcie znajdują się również stoliki z miejscami siedzącymi, które umożliwiają krótkotrwały wypoczynek.

3. W zakresie cen obowiązujących w restauracji „Imperial" wyjaśniamy, że ceny wyszczególnione w artykule są cenami zestawów obiadowych i wymagają sprostowania. W załączeniu przesyłamy jadłospisy z 14 i 15 lipca br. Cena umieszczona w nawiasie (po daniu zasadniczym) jest ceną gastronomiczną dania, bez dodatków. Dla informacji podajemy, że konsument korzystający z usług zakładu może zrezygnować z proponowanych dodatków, które umieszczone są po cenie dania podstawowego, dokonując zamówienia dodatków, które są wyszczególnione w dalszej części jadłospisu.

Nadmieniamy, że ceny potraw oferowanych przez placówkę są zróżnicowane, dostosowane do możliwości finansowych konsumentów. Obok potraw, których cena wynosi 1130 zł (kurczak pieczony, młode ziemniaki, fasolka szparagowa), 196 zł (barszcz czysty z uszkami z mięsem) — są też potrawy tańsze — 98 zł (pierogi góralskie), 81 zł zł (rosół z makaronem), 66 zł (barszcz czysty). Wybór należy do konsumenta.

● Mgr inż. **Irena Bohdziewicz**, społeczny opiekun PTTK w Nawojowej, podziela naszą troską o tamtejszy park, ale równocześnie podkreśla, że NOPR nie jest w stanie sam nadrobić zaniedbań i zniszczeń pozostawionych przez poprzednich użytkowników parku.

Moim skromnym zdaniem najpilniejszą sprawą jest zamontowanie przy głównej alei parkowej, od strony cmentarza, znaku zakazu wjazdu, a następnie surowe egzekwowanie go przez MO i adeptów szkoły milicyjnej ZOMO, którzy z tego parku korzystają(...) Zawracam często z alei parkowej furmanki, natomiast aut i motocykli nie jestem w stanie zatrzymać.

Tak, ten cenny park rzeczywiście potrzebuje opieki, ale opieki całego społeczeństwa, a szczególnie obywateli wsi i gminy Nawojowa — zwłaszcza dzieci i młodzieży.

● **Rada Sołecka i aktyw wsi Nowa Biała** nadesłał kopię swego wystąpienia do Ministra Rolnictwa, w którym protestuje się przeciw projektowi budowy dużego wysypiska śmieci z rejonu Podhala właśnie na terenie Nowej Białej.

Autorzy petycji argumentują następująco: teren przewidziany pod wysypisko otoczony jest z dwóch stron pięknymi lasami; przyszłe jezioro czorsztyńskie znajdzie się w bliskości śmietniska; teren ma duże walory krajobrazowe i zasługuje na ochronę, a ponadto nie są to nieużytki, lecz ziemia uprawiana rolniczo.

Sądzimy, że wiążące stanowisko w tej sprawie należy do Gminnej Rady Narodowej. Żadna lokalizacja wysypiska — co zrozumiałe — nie przeszła dotąd bez protestów.

● Kierownictwo i Rada Kolonii częstochowskiego „Komobexu" przesyłają podziękowania dla władz Limanowej za życzliwą pomoc w zorganizowaniu letniego wypoczynku. Dziękują naczelnikowi, inspektoratowi oświaty, handlowcom, służbom sanitarnym, placówkom kulturalnym, straży pożarnej, MO, Ośrodkowi Sportu i Rekreacji:

Niech się wszystko inne schowa,
bo najlepsza Limanowa!

NOWOTARSKIE SPRAWY

Kiedy przed sklepami papierniczymi zaczynają się formować kolejki i rodzice coraz częściej, acz bezskutecznie, dopytują się w księgarniach o pierwszy podręcznik „Mam 6 lat” tudzież brakujące książki do klas I, II, III — znak to, że 1 września zbliża się nieuchronnie. Nie inaczej jest w stolicy Podhala, ale tutaj byli „zerówkowicze” i ich starsi koledzy mają dodatkowo w pamięci swoje kilometrowe wędrówki do szkoły i powroty o zmroku z „trzeciej zmiany”.

Wrzesień'88 będzie dla nich łaskawszy, bowiem oddana do użytku po wielu latach i trudach szkoła na Równi Szaflarskiej stworzy wreszcie najmłodszym godziwe warunki pobierania nauk. Budowało ją PBO „Podhale” (przy niemałym wsparciu naczelnika miasta) od roku 1982, borykając się cały czas z kadrowymi i innymi kłopotami, ale przybył nowotarskiej oświacie obiekt — jak powiada inspektor **Mieczysław Gottfried** — *na miarę XXI wieku*, z olbrzymim zapleczem, biblioteką, kuchnią i przyległościami. Sala gimnastyczna będzie dobudowana jeszcze w tym roku, zaś basen kąpielowy ma powstać w przeciągu dwóch lat. O to, aby się nasza budowlana rzeczywistość nie wyśmiała z tych planów — będzie już zabiegał prezes Nowotarskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, **Józef Gajewski.** Sprawa basenu jest o tyle nagląca, że ponoć 75 % dzieci w wieku szkolnym legitymuje się skoliozą i innymi wygięciami kręgosłupa lub nieprawidłowo wykształconym kośćcem. Rodzice, których dzieciom lekarz zaleci pływanie — często są zrozpaczeni: dojazdy na basen pod NZPS wiążą się ze stratą czasu, marznięciem niedosuszonych pływaków na przystankach i w efekcie — z ciężkimi przeziębieniami; leczenie poza tym winno się odbywać pod okiem instruktora-specjalisty. Czy się zatem ziści marzenie o basenie i przygniecione tornistrami dzieci zaczną prostować sylwetki — zależy od budowlanych i inwencji prezesa.

Prezes, że obietnic danych oświacie dotrzymuje — dowiódł już, przekazując pięć dwu-i trzypokojowych mieszkań dla nauczycieli, którzy zatrudnieni będą w nowej szkole. Pytanie o przyczyny braku chętnych do „uczenia cudzych dzieci” trzeba bowiem teraz zadawać w kontekście pytania o ich szanse na zyskanie lokum. Cztery z tych mieszkań będą zasiedlone już wkrótce, piąte czeka na małżeństwo absolwentów Wydziału Filologii Polskiej, gdyż niedobór polonistów okazał się w Nowym Targu szczególnie dotkliwy — dziesięciu mogłoby tu znaleźć pracę od zaraz. Równie dotkliwe są skutki tego niedoboru: egzaminy wstępne do szkół średnich obnażają bezlitośnie luki w gramatycznej i ortograficznej wiedzy, nieporadność językową, brak biegłości w ustnych i pisemnych wypowiedziach kandydatów. Kwestia: dlaczego tak mało polonistów trafia do nauczycielskiego zawodu — to jednak osobny, bardziej złożony problem. Brakuje także paru specjalistów nauczania początkowego i wychowania przedszkolnego, natomiast fizyków i matematyków jest pod dostatkiem, nawet trochę więcej.

Mimo tych braków i nadmiarów, przygotowanie tutejszej kadry nauczycielskiej jest dobre i coraz lepsze: nie ma ponoć nauczyciela, który ukończyłby 35 lat, nie podjąwszy studiów (także podyplomowych), choć magisterski tytuł nie zawsze bywa synonimem pedagogicznych uzdolnień — w środowisku brylują czasem i zaskarbiają sobie największą sympatię dzieci nauczyciele z niepełnym wyższym wykształceniem; kryterium stażu też bywa zawodne — inwencja nauczycieli świeżo upieczonych pomaga im zmieścić w 45 minutach wiele niepowtarzalnych pomysłów, chcą nowości, są chłonni. Zaś rutyna doświadczonych pedagogów podprowadza starszych uczniów ku samodzielności — wtedy zajęcia (dyskretnie sterowane) same się toczą.

Nowy Targ jest pierwszym miastem w województwie, które wprowadziło do szkół podstawowych język zachodni (niemiecki lub francuski), wielu nauczycieli rzetelnie zapracowało na sukcesy swoich wychowanków w urządzanych co roku olimpiadach przedmiotowych. Nie znaczy to jednak, że nowotarska oświata szczebla podstawowego ma za sobą wszystkie kłopoty — nowa szkoła wprawdzie odciąży w znacznym stopniu zatłoczone „dwójkę” i „piątkę”, poprawiając warunki, a tym samym atmosferę nauczania, lecz okazała się za ciasna już w momencie otwarcia — przewidziana dla 998 uczniów, przyjmie ich 1100. W „dwójce” i „piątce”, przewidzianych każda dla 650 — zostanie uczniów: 1000 i 1200. Nie uniknięto w związku z tym paradoksalnej, przykrej dla dzieci i rodziców sytuacji: oto uczniowie z kilku bloków przy ul. Podhalańskiej, z części nowych bloków i z Alei Tysiąclecia nadal będą musiały wędrować przez skrzyżowanie ze światłami do „piątki” (choć niektórzy nową szkołę mają o dwa kroki). Powód: zapełnienie nowego przybytku wiedzy. Ta okoliczność upodabnia już Nowy Targ do miast o wiele większych, gdzie uczniowie mijają szkołę na własnym osiedlu i jadą kilka przystanków dalej — do tej, która miała wolne miejsca. Tu jednak przeciążone są prawie wszystkie „podstawówki” i nic nie wskazuje, że stan rzeczy rychło się zmieni.

Oczywiście przewidywano taki natłok już dawno i miała powstać jeszcze jedna szkoła (w miejscu, gdzie dziś na tyłach Zespołu Szkół Mechanicznych znajduje się zaniedbane nieco „miasteczko komunikacyjne” dla dzieci) — nie powstała, bo po pierwsze nie ma kto budować szkół, a po drugie — głód mieszkań jest równie wielki. W efekcie co roku przybywa każdej szkole więcej „pierwszaków” niż ubywa ósmoklasistów. Dodajmy jeszcze, że siedzi to bractwo w zniszczonych, niedopasowanych ławkach, a pozyskanie dla szkoły stomatologa graniczy z cudem.

Od września, w lepszych warunkach, po rozładowaniu przepełnienia, ożywi się na pewno cały system zajęć pozalekcyjnych i kół zainteresowań; dojrzewa myśl stworzenia w nowej szkole pracowni dydaktyczno-technicznej wyposażonej w sprzęt video, kserokopiarkę i inne rzeczy niezbędne nauczycielom do wdrażania nowych metod i pomysłów, do zaoszczędzenia czasu. Pracownia mogłaby służyć pedagogom z Nowego Targu i najbliższej okolicy. Między spółdzielczością a Związkiem Nauczycielstwa Polskiego została także zawarta umowa w sprawie budowy bloku o sześćdziesięciu mieszkaniach. Ponadto wrzesień przyniesie najpewniej zmianę administracyjną. Wydział Oświaty, jako najbliższy krewny, ma się zaopiekować sierocym Wydziałem Kultury. Oby to była udana adopcja.

ANNA SZOPIŃSKA

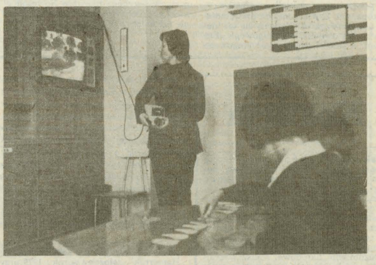

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

KĄCIK pptk. Glińskiego

Bez opieki

Kto osobę, względem której ma obowiązek troszczenia się, pozostawia w położeniu grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5 — brzmi jeden z artykułów Kodeksu Karnego.

Damianek miał nieco ponad dwa lata i musiał zdawać się na mądrość osób starszych. Pewnego dnia rodzina Damianka zapakowała sią do pekaesu i wyruszyła do Nowgo Targu. Chłopcem opiekowały się na przemian matka lub babcia, a i ojciec od czasu do czasu spoglądał na małego. Wszystko było dobrze do czasu, póki rodzina wędrowała po sklepach. Napatrzył się Damianek na kolorowe różności wystawione na sklepowych półkach, dostał w prezencie samochodzik. Potem było już mniej ładnie, trafili bowiem pod obskurną budkę, z której dolatywał specyficzny zapaszek i wokół której stało dużo ludzi, którzy z wielkich szklanic coś popijali. Potem tato wziął Damianka za rękę i zaprowadził do sklepu, gdzie była kolejka i dużo butelek. Tato kupił kilka butelek i poprowadził synka nad dużą rzekę. Tu malec miał frajdę: pobiegał sobie do woli, narzucał się do rzeki kamyczków. Wymyślał coraz to nowe zabawy, podczas gdy rodzice i babcia opróżniali jedną butelkę po drugiej. Było im coraz weselej, mówili coraz głośniej i śmiali się nie wiadomo z czego. Damiankowi zaczęło się nudzić, zmarzł i czuł coraz większy głód. Zaczął płakać, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Wreszcie zaświtała nadzieja: ruszyli na powrót do miasta...

Taksówkarz Leszek. R. wyszedł na popołudniowy spacer z dziećmi. W Rynku dostrzegł małego, zziębniętego chłopca, strasznie umorusanego i przemoczonego. Postanowił zwrócić rodzicom uwagę na niestosowność ich postępowania wobec dziecka, malec jednak był sam. Co chwilę wbiegał na jezdnię i kierowcy przejeżdżających samochodów zmuszeni byli do gwałtownego hamowania. Mogło się to skończyć tragicznie. Leczek R. wziął więc dziecko za rączkę i odprowadził do pobliskiego RUSW.

Oficer dyżurny wysłał na ulice Nowego Targu wszystkie radiowozy z zaleceniem rozgłoszenia po ulicach wiadomości o znalezieniu zagubionego dziecka. Wreszcie — po kilkudziesięciu minutach — do jednego z samochodów zgłosiła się kobieta, która oświadczyła, że zawieruszyło jej się dziecko. Stan owej pani był jednak taki, iż sama wymagała opieki. Milicjanci przywieźli więc ze wsi jej teściową, której przekazali wnuka, natomiast niedysponowaną mamusię odesłali do wytrzeźwienia. Wynik badania krwi zatrzymanej wprawił w osłupienie nawet takich, co to niejedno w życiu widzieli: tęgiej postury chłop nie miał prawa w tym stanie ustać na nogach!

★

Krystyna S. — gaździna z Kościelisk zawarła z krakowską Spółdzielnią „Żaczek” umowę o wynajem kwater dla pracowników tejże instytucji. W ramach kontraktu przyjechała na wypoczynek Marta C. z trójką nieletnich dzieci. Właścicielka oznajmiła podczas pierwszej kolacji wczasowiczom, co wolno, czego nie wolno w jej domu, a potem zerkała często co letnicy robią. Prac polowych miała jednak sporo. Pewnego dnia, gdy zajęta była suszeniem siana, spostrzegła biegnącą w jej kierunku sąsiadkę, która krzyczała — *Pali się!*. Krystyna S. rzuciła narzędzia rolnicze i co sił pobiegła w kierunku swego domu.

W obejściu działała już straż pożarna. Gospodyni zlustrowała szybko budynek mieszkalny — na szczęście straty nie były wielkie. Uszkodzeniu uległo, w wyniku działania ognia i akcji gaśniczej, tylko pomieszczenie, które zajmowała Marta C. Dopiero później Krystyna S. dowiedziała się, że ocalenie domu zawdzięcza przytomności umysłu Elżbiety K. i Celiny W. oraz poświęceniu w akcji gaśniczej Jana S.

Siostry — Elżbieta K. i Celina W. wybrały się na zakupy do sklepu w Kościelisku, a następnie planowały wycieczkę do lasu. Pogoda jednak nie była najlepsza, w każdej chwili mógł spaść deszcz, więc postanowiły wrócić do miejsca pobytu. Po drodze spotkały 10-letniego Marka C. — syna sąsiadki z wczasów. Zdziwiły się nieco widząc, że jego matka udała się do Zakopanego, by poprawić urodę w salonie fryzjersko-kosmetycznym, a zawsze w takich przypadkach Marek opiekował się młodszymi braćmi. Dochodząc do domu siostry zobaczyły dym wydobywający się z zabudowań Krystyny S. Paliło się w pokoju zajmowanym przez Martę C. Przyspieszyły kroku. Z pokoju Marty C. doszedł je płacz dziecka. Drzwi były jednak zamknięte, a siły sióstr okazały się za słabe, by je wyważyć. Celina W. udała się po pomoc do sąsiada — Jana S. Na szczęście był w domu. Dym coraz bardziej gęstniał. Z trudem udawało się już wyjść na piętro. Jan S. nie dał jednak za wygraną. Sforsował drzwi i wszedł do mieszkania. Skierował strumień gaśnicy na źródło ognia, a następnie rozpoczął poszukiwanie dzieci. Nie miał czym oddychać, w ostatniej jednak chwili udało mu się odnaleźć nieprzytomne już dzieci. Resztką sił wyniósł je przed dom. W tym czasie siostry zatrzymały przejeżdżający samochód. Przystąpiono do przywracania przytomności chłopcom, po czym szybko przetransportowano ich do szpitala. Tam zajęli się nimi lekarze i po kilku dniach dwu- i czterolatek doszli zupełnie do siebie.

Milicyjna grupa operacyjno-śledcza dokonująca oględzin miejsca zdarzenia bez trudu ustaliła, że przyczyną pożaru było pozostawienie włączonej w kontakt grzałki. Dzieci, które niejednokrotnie widziały, że matka włącza grzałkę, chciały ją naśladować.

Co by było, gdyby Elżbieta K. i Celina W. nie zmieniły swoich planów? Co stałoby się, gdyby nie społeczna postawa Leszka R.? Strach pomyśleć! Niedbalstwo, lekkomyślność, brak wyobraźni mogły się zakończyć tragicznie.

Kto pozostawia osobę, względem której ma obowiązek troszczenia się...

Jak wypoczywamy?

Już teraz możemy powiedzieć, że rok bieżący będzie rekordowy pod względem ilości przebywających w naszym regionie wczasowiczów, turystów oraz młodzieży na obozach i koloniach. Władze odpowiedzialne za przygotowanie bazy wczasowo-turystycznej zajęły się tymi sprawami już na wiosnę. Klasyfikowano placówki, instruowano. Od 15 lipca br. ruszyły w teren zespoły kontrolne. Teraz już inspektorzy nie poprzestali na tłumaczeniach i upomnieniach. Gdzie napotykano nieporządek, sypały się kary. Obiekty oceniali przedstawiciele Wydziału Kultury Fizycznej i Sportu Urzędu Wojewódzkiego, Sanepidu, Milicji Obywatelskiej i Straży Pożarnej. Niemal codziennie trzy zespoły penetrowały domy wczasowe, ośrodki sportowo-turystyczne, obozy i kolonie. Kontrole nie stanowią jednorazowej akcji, lecz będą trwać nieprzerwanie.

Inspekcją objęto dotychczas 1716 obiektów. Nieprawidłowości stwierdzono w 282, co kończyło się mandatami. Napotykano też skrajne przykłady zaniedbań, kiedy należało sięgnąć po najcięższy argument — wniosek o ukaranie lub cofnięcie zezwolenia na działalność. Takie negatywne przykłady to: dom wczasowy „Harnaś”, gdzie dopatrzono się zagrożenia epidemiologicznego, dom wczasowy „Bankowiec” oraz ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy „Adria” — wszystkie w Zakopanem. Zawieszono ich działalność. Do ukarania zakwalifikowały się też kierownictwa ośrodka kempingowego „Budopol” w Dobrej, ośrodka kempingowego w Porębie Wielkiej, domów wczasowych „Śnieżka” I i II w Bukowinie Tatrzańskiej oraz prywatni właściciele kwater i stołówek — **Władysław Walicki** w Bobowej i **Władysław Korpak** w Stróżówce. Dwie kolonie zasłużyły na surową naganę. Kwatery, w których zamieszkały dzieci pracowników Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej „Łowiczanka” w Bystrej Podhalańskiej, nie uzyskały wcześniej not kwalifikacyjnych. Organizator — spółdzielnia „Łowiczanka” — zamiast zatroszczyć się o przeniesienie dzieci w odpowiednie miejsce, podjął batalię odwoławczą z komisją. Postępowanie w tej sprawie prowadzi Kuratorium Oświaty i Wychowania w Nowym Sączu. Podobną sytuację stwierdzono na kolonii WPHM z Kielc, znajdującej się w Zębie koło Zakopanego. Tam organizatorzy wykonali zalecenia — przenieśli dzieci do innego obiektu.

Nie można pominąć dobrych przykładów. Należą do nich Dom Pracy Twórczej PAN w Szczyrzycu, ośrodek wypoczynkowy Huty im. Lenina w Rabie Niżnej, kolonia Zarządu Wojewódzkiego TPD w Nowym Sączu, na której przebywają dzieci z różnych stron Polski, ośrodek wypoczynkowy „Telom-Telos” w Lubomierzu i ośrodek kempingowy nad Kamienicą w Nowym Sączu.

Ogólnie można powiedzieć, że baza turystyczno-wypoczynkowa w Nowosądeckiem jest nieco lepsza niż w reszcie kraju, ale nie może to pocieszać.

L-ki

Wyrok

Zastępca Prokuratora Wojewódzkiego, **Czesław Majewski** informuje:

1 lipca 1988 roku Prokurator Rejonowy w Gorlicach skierował do miejscowego Sądu Rejonowego akt oskarżenia przeciwko Krzysztofowi D., Albinowi D., Ryszardowi K., Romanowi G. i Janowi K. Oskarżeni ci tworzyli „rodzinną” grupę przestępczą: Krzystof D. i Albin D. to bracia, Ryszard K. i Roman G. — kuzynowie, zaś Jan K. jest szwagrem braci D. Żaden z nich nie pracował zawodowo, podejmowali tylko prace dorywcze, przeważnie na prywatnych budowach. „Przywódcą” grupy i inspiratorem kradzieży z włamaniem był Krzysztof D.

Jak ustalono w toku postępowania przygotowawczego, a następnie sądowego, grupa w latach 1985 — 1988 na terenie Gorlic i okolicy dokonała 17 kradzieży z włamaniem do sklepów i pawilonów handlu uspołecznionego i do sklepów prywatnych oraz do Urzędu Pocztowego w Bystrej.

Sprawcy — po wybiciu szyb, wyłamaniu zamków, kłódek i innych zabezpieczeń — dostawali się do wnętrza pomieszczeń skąd zabrali mienie o łącznej wartości około półtora miliona złotych. „Polowali” przede wszystkim na alkohol i gotówkę, chociaż nie gardzili również innymi dobrami, jak futra ze srebrnych lisów czy skórzane kurtki.

Prawie wszystkie dochodzenia prowadzone w tych sprawach w ciągu trzech lat były umarzane z powodu niewykrycia sprawców. Ostatecznie jednak dzięki usilnej i żmudnej pracy operacyjnej organów Milicji Obywatelskiej nad rozpracowaniem środowisk przestępczych, doprowadzono do ujawnienia i ujęcia sprawców włamań. Wobec przedstawionych im dowodów przyznali się do zarzucanych czynów. W wyniku dokonanych przeszukań odzyskano część skradzionego mienia.

Spośród dokonanych włamań na szczególną uwagę zasługuje kradzież dokonana w nocy z 4 na 5 sierpnia 1987 roku w sklepie nr 13 w Bystrej. Sprawcy zabrali wódkę wartości 307 tys. zł, którą najpierw ukryli nad rzeką, a następnie przewieźli do swoich zabudowań. Również włamanie do Urzędu Pocztowego w Bystrej, dokonane w nocy z 25 na 26 listopada 1987 roku miało im przynieść większą ilość gotówki. Po wyłamaniu drzwi wejściowych i wejściu do pomieszczeń Urzędu, usiłowali dostać się do kasy pancernej z większą ilością gotówki, lecz im się to nie udało.

W dniu 21 lipca 1988 roku zapadł nieprawomocny wyrok, mocą którego „przywódca” grupy włamywaczy — Krzysztof D. został skazany na karę łączną 6 lat pozbawienia wolności i milion złotych grzywny. Pozostałych oskarżonych skazano na kary od 3 do 4 i pół lat pozbawienia wolności i odpowiednio wysokie grzywny.

Koalicja

Jak przezwyciężyć nasze gospodarcze kłopoty, jak rozwiązać nabrzmiałe, bolesne problemy, jak postawić Polskę na nogi, jak wyrwać ludzi z marazmu — oto pytania, które stawiają sobie zarówno politycy jak i miliony Polaków. Dzisiaj większość — i to niezależnie od różnic politycznych czy światopoglądowych — zgadza się co do tego, że podstawowym warunkiem pokonania obecnych trudności jest porozumienie narodowe, sojusz wszystkich ludzi dobrej woli i ich zaangażowania na rzecz postępu gospodarczego i politycznego. Mówi się więc o potrzebie antykryzysowej koalicji wszystkich — bez wyjątku — patriotycznych sił społecznych. Czy ta koalicja to ma być nowy polityczny twór? Czy jakieś nowe społeczne ciało, posiadające organizacyjną formę, statutowe ramy? Myślę, że nie o to chodzi. Codzienna obserwacja naszej rzeczywistości podpowiada konieczność prostych rozwiązań. W tej koalicji chodzi bowiem o naszą codzienność, o te wszystkie sprawy, które można i trzeba rozwiązać siłami ludzi rozumiejących wspólnotę interesów w każdym środowisku, w każdym mieście i wsi.

Wielka polityka używa wielkich słów. Ale codzienna Polska to wszystkie drobne, uciążliwe dla wszystkich kłopoty. Życie składa się właśnie z owych codziennych drobiazgów. To one, rozwiązane niewłaściwie najbardziej nam wszystkim dokuczają. Niegospodarność, brud, bałagan, pijaństwo, łapownictwo, kumoterstwo — to nie jest dzieło krasnoludków. To się dzieje na naszych oczach. Koalicja antykryzysowa to po pierwsze odmowa zgody na to wszystko, to tworzenie społecznych grup zwalczających owe społeczne plagi. To jest możliwe. To nawet nie wymaga pieniędzy. Wymaga woli i uporu. Osiedlowy sklep, wygląd naszego podwórka, czystość klatki schodowej, teren zabaw dla dzieci to wszystko tereny działania przeciw bylejakości dla wszystkich Polaków. W zakładzie pracy koalicja taka sięga po prostu do zdrowego rozsądku i zwykłej gospodarności. Sposobów wyrażania poglądów, sposobów i możliwości działania jest już wiele. Związek zawodowy, samorząd pracowniczy, organizacje polityczne — wszystko to są partnerzy koalicji. Dziś stanowią — nie bójmy się tego powiedzieć — często dość formalną dekorację. W tak rozumianym współdziałaniu i porozumieniu nikt nie musi się obawiać o utratę własnej tożsamości politycznej czy światopoglądowej. Korzyść możemy odnieść wszyscy.

Spróbujmy zacząć budowę porozumienia od dołu, od najprostszych wspólnych spraw. To tutaj koalicja antykryzysowa może się zawiązać najszybciej i najszybciej zobaczyć skutki swej działalności.

GRZEGORZ WOLFF

Krakowscy górale

Najbardziej widomym znakiem obecności Podhalan w Krakowie są działające tu góralskie zespoły. Początek dali im już w roku 1952 studenci pochodzący z Podhala. Wówczas to bowiem przy Akademii Górniczo-Hutniczej powstał Studencki Zespół Góralski, a następnie podobny przy Politechnice Krakowskiej. Połączyły się z czasem i przyjęły nazwę „Hyrni” Dziś kontynuatorem pracy „Hyrnych” jest Studencki Zespół Góralski „Skalni”, działający od 35 lat przy Akademii Rolniczej, a kierowany przez **Ryszarda Gąskę**.

Znacznie młodszy jest Zespół Góralski „Hamernik”, założony w roku 1979 przy Domu Kultury Kombinatu Huty im. Lenina, a obecnie działający przy Nowohuckim Centrum Kultury. Założycielami i kierownikami tego zespołu są **Kazimierz i Anna Lassakowie**, wywodzący się ze „Skalnych”.

Obydwa zespoły mogą się pochwalić wysokim poziomem muzykowania, śpiewu i tańca góralskiego. Występowały niezliczoną ilość razy przed krakowską publicznością, odbywały liczne wojaże krajowe i zagraniczne, zdobywały nagrody oraz wyróżnienia. Znana też jest ich szeroka działalność społeczna, i to nie tylko w środowisku krakowskim.

W roku 1984 — również przy Nowohuckim Centrum Kultury — powstał Dziecięcy Zespół Góralski „Mali Hamernicy”, założony i kierowany także przez Kazimierza i Annę Lassaków. Ten młody stażem i wiekiem swych członków zespół może się już też poszczycić sporymi umiejętnościami i sukcesami w imprezach folklorystycznych.

TADEUSZ PUDZISZ
Kraków

Zakopiańskie ulice

Seweryna Goszczyńskiego

Burzliwe i bogate w wydarzenia było życie Goszczyńskiego (1801 — 1876). Piewca Ukrainy po upadku Powstania Listopadowego znalazł się u stóp Tatr. Literatura polska zawdzięcza mu odkrycie piękna tych gór. Nazwany „poetyckim Kolumbem Tatr”, jest Goszczyński pionierem tematyki góralskiej w polskim piśmiennictwie. On pierwszy ukazał odrębność życia ludu tatrzańskiego. Jest autorem „Dziennika Podróży do Tatrów” (1832) oraz „Sobótki” i fragmentów poematu „Kościelisko” (1834).

Podczas pobytu w Galicji gościł u Tetmajerów w Łopusznej. Po latach Kazimierz Przerwa-Tetmajer napisał: *Czuję, że kocham Tatry do zapamiętania. (...) Goszczyński otwarł mi ten świat, otwarł mi oczy*. Chociaż przez chwilę pochylmy się nad fragmentem „Kościeliska”:

Między górami noc padła głęboka
I nasadziła strachów po parowach.
Tam z drzew wygląda, jak starzec, opoka,
Suchy świerk sterczy, niby Kościeliska,
Jak co żywego, skacze liść pod nogą,
Tylko robaczek świeci nad drogą,
Tylko gwiazdeczka między liśćmi błyska.
Nad wsią Łopuszna, nad Łopuszną rzeką
Garbi się góra, Małogóra zwana:
W jej drapie jama — widać ją daleko —
W krzaki jałowcu, w siwy głaz odziana,
Lube i stałe dziwożon mieszkanie.
A dziwożony potężne są panie:
Kraj się ich ciągnie popod całe hale
W ich mocy skarby, co je ma hal łono.

W roku 1838 Goszczyński w obawie przed aresztowaniem emigrował do Francji, aby powrócić do kraju dopiero w roku 1872. Pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

EMIL BIELA

Pamięć

Staraniem Institut für Sozialforschung w Hamburgu ukazała się dwutomowa niemieckojęzyczna antologia prac z zeszytów „Przeglądu Lekarskiego Oświęcim” (Beltz Verlag, Weinheim und Bael 1987). Przewodniczący Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego, prof. dr **Józef Bogusz** oświadczył w związku z tym: *Niemiecka edycja naszych materiałów sprawiła przełamanie bariery językowej i udostępnienie tych materiałów zachodnioniemieckiemu czytelnikowi. Jak to wynika z zapowiedzi wydawców — źródeł tych nie będą mogli pominąć ci, którzy zajmować się będą historią narodowego socjalizmu w III Rzeszy. Materiały dokumentują z pedanterią i ścisłością wszystko, co się wówczas zdarzyło w sercu Europy, ale jednocześnie poszukują dróg zbliżenia, wzajemnego zrozumienia, usuwania barier psychologicznych i politycznych między obywatelami PRL i RFN.*

Oba tomy zawierają dwa wstępy: wydawcy zachodnioniemieckiego oraz — ze strony polskiej — prof. J. Bogusza, 33 artykuły (autorstwa m.in. **Zenona Jagody, Stanisława Kłodzińskiego, Jana Masłowskiego, Zdzisława Ryna, Mieczysława Kiety, Eugeniusza Brzezickiego, Adolfa Gawalewicza, Tadeusza Hołuja, Antoniego Kępińskiego** (oraz uzupełnienia i aneksy — razem 657 stron formatu „Encyklopedii Powszechnej” PWN, czyli około 100 stron maszynopisu.

Jak podaje prof. Bogusz — *wydawnictwo jest wyrazem ekspiacji ze strony Niemców z RFN, co jasno wynika ze wstępu strony niemieckiej* (s. 7 — 8); *eksponuje dobitnie cierpienia i straty narodu polskiego* (wstęp strony polskiej, s. 9 — 12) — *co zwłaszcza dzisiaj, przy wciąż istniejącej nieprzyjaznej opinii i indoktrynacji w USA ma niemałe znaczenie.*

Recepcja niemieckiej antologii jest bardzo szeroka, do końca lipca 1988 prof. Bogusz otrzymał od wydawców z RFN ponad 20 recenzji i omówień w prasie zachodnioniemieckiej i szwajcarskiej.

Franek Mostowy

Trient 16/12 1909

Najukochańsza Mamo!

Zbliża się 23 grudnia, przypominam sobie, jak my Wam, Kochana Mamo, winszowali na Waszą patronkę. Dziś nie mogąc Wam ustnie powinszować składam Wam listowne życzenia, abyście w pokoju i szczęściu jak najdłuższych lat dożyli. Marny los zapędził mnie w te strony z dala od rodziny, że nawet na świętą willię opłatkiem się łamać nie mogę. Spodziewają się bracia willii, ale ja wcale nie, gdyż sobie ani myśleć o tym nie mogę, tak mi smutno i tęskno.

Całuję Wam ręce i nogi Najukochańsza Mamo

Franek

Tak pisał do matki, Wiktorii Mostowej, jej czwarty z żyjących synów — *„K.u.K. Kanonier Franz Gut, des Festungsartilerie Batalions Nr 5, 2 Feldkompanie in Trient (Tirol)"*.

Dzień przed napisaniem listu ukończył 21 lat, odbywając trzyletnią obowiązkową służbę w austriackim wojsku. W nielicznych listach, zachowanych przez prawie 80 lat, odzwierciedla się niezmiennie tęsknota młodego górala za domem, za najbliższymi, za swoją wsią. *Niechże mi Władek* (młodszy brat) *kupi kartkę, jakiego górala, i pośle mi , bo tu chcą widzieć, jak się tam noszą* — pisał w Nowy Rok 1910. W każdym z listów znajdują się zapytania o krewnych i kolegów, pozdrowienia. Stara się też usilnie o kontakt listowy z bratem Janem, będącym już wtedy w Szwajcarii. Niepokoi się brakiem wiadomości od niego, ale gdy wreszcie list od Jaśka przyszedł, to *leitnant sie mnie zaraz pytał, czy to od tego, co zdezerterował. Ja mu prawiłem, że takiego brata nie mam, ale on prawi, że on wie dobrze.* A więc i dowództwo jednostki wojskowej było poinformowane o sprawie Jaśka, i można domniemać, że niektóre listy ze Szwajcarii były przejmowane. W listach Franka do rodziców powtarzają się też prośby o kilka koron lub paczkę, jako że żołnierski żołd był nader skromny.

Trzy lata słuzby wojskowej minęły i Franciszek powrócił do ojcowskiego domu. Powróciły też problemy, jakie mieli z Frankiem rodzice jeszcze przed wojskiem. Franek, jak zresztą prawie wszyscy „parobcy" we wsi, dość wcześnie poczuł smak karczmy. Tam było odprężenie po codziennej harówce, tam było towarzystwo, któremu można było imponować. Skutki tych „posiadów" były jednak u Franka tym bardziej kłopotliwe, że był on z natury porywczy, zadziorny i nieustępliwy, wysoko też cenił swój „honor". Finansowe następstwa wyskoków syna musiał ponosić jego ojciec. Franciszek zdawał sobie sprawę z kłopotów, jakich przysparza rodzicom, bowiem w jednym z listów pisanych z wojska przyznaje: *Może sobie i Wy, Najukochańsza Mamo, wspomniecie o mnie, że choć ta był gałganem, ale choć czasem było z niego dobre chłopczysko.*

W sierpniu 1914 r. Franciszek, po ogłoszeniu mobilizacji, znów zostaje powołany do wojska. Jego jednostkę artylerii skierowano w góry Serbii, następnie na włoski front. Wrócił do domu w 1918 r. cały i zdrowy, zresztą nie na długo. Na początku 1919 r. jest już w Wojsku Polskim.

Po zakończeniu działań wojennych ten, wtedy już 32-letni mężczyzna, musiał pomyśleć o założeniu własnej rodziny. Rodzice postanowili, że zostanie on *na placu*, to znaczy obejmie dom rodzicielski u Mostowego. Franciszek zawiera związek małżeński z Agnieszką Galicą z rodziny „Winców" z Poronina i rozpoczyna gospodarowanie na swoim. Nie miał jednak zacięcia do gospodarki, wiedział zresztą, że z uprawy grul, owsa i jęczmienia dochody będą nader skromne. Nastawił się więc na siano, najbardziej wartościowy produkt podtatrzańskiej gleby. Orał mało, tyle żeby mieć własne ziemniaki, owies dla konia i karpiele dla krów, zaś zebrane w znacznej ilości siano gromadził, a nadwyżkę — po zaspokojeniu potrzeb własnej hodowli — sprzedawał przed wiosną, kiedy była najlepsza na siano cena. Ponadto, mając uprawnienia masarskie, otworzył (w wybudowanym obok domu kiosku) sklep mięsny, jedyny w górnej części Poronina. Wszystko to dawało Franciszkowi i jego żonie stosunkowo dobrą pozycję materialną. Brakowało tylko dzieci. Dopiero w 1930 r., po dłuższym leczeniu, Agnieszka urodziła bliźnięta — chłopca i dziewczynkę. Jaś zmarł wkrótce po urodzeniu, pozostało więc Frankowi jedno dziecko — Marysia.

W dniu wybuchu II wojny światowej Franciszek miał już 51 lat. Nie porwała go fala masowej ucieczki przed Niemcami, pozostał w domu. O rzeźnictwie nie było już mowy, pozostawało utrzymywanie się z gospodarstwa dostosowanego do nowych warunków. Stała groźba rekwizycji zmuszała do ograniczenia hodowli.

Franek Mostowy byl jednym z nielicznych mieszkańców Poronina, którzy kupili przed wojną na raty odbiornik radiowy. Kiedy na polecenie władz okupacyjnych trzeba było broń i radioodbiorniki zdawać do gminy, Franek aparatu nie oddał, rozpuszczając wiadomość, że odbiornik na krótko przed wojną został mu zabrany na skutek nie zapłaconej w terminie raty. Ukrył go tylko w sąsiedztwie, w domu Stanisławą Króla-Magla, za jego zgodą. Po przeczekaniu pewnego okresu zaczęto z odbiornika korzystać dla wysłuchiwania audycji w języku polskim z Londynu. U Magla schodziło się grono zaufanych osób prawie w każdy wieczór. Nikt wtedy nie miał pojęcia o regułach konspiracji, zresztą działała tu tradycyjna zasada góralska, według której góral góralowi wszystko może powiedzieć bez obawy, że trafi to do niegóralskiego ucha. Jednakże ci , którzy słuchali audycji radiowych, dzielili się nimi dalej. Trwało to kilka miesięcy. Pewnego dnia gestapo przeprowadziło u Króla gruntowną rewizję, odbiornika wszakże nie znaleziono. Król, mimo bicia, do niczego się nie przyznał. W nocy po wizycie gestapo Franek Mostowy zabrał odbiornik do siebie ukrył go w nieczynnej wędzarni. Minął rok, wybuchła wojna niemiecko-radziecka i ciekawość wydarzeń wojennych wzięła górę nad ostrożnością. U Franka Mostowego znów zbierali się wieczorami najbardziej zaufani, słuchając wieści ze świata. Konspiracja była tym razem lepsza, jednak i ona nie uchroniła przed nieszczęściem. W lecie 1942 r. gestapo przyjechało do Mostowego. Gestapowcy skatowali Franciszka i jego żonę, przeprowadzili rewizję w domu, ale i tym razem odbiornika nie znaleziono. Franek Mostowy został mimo to aresztowany. Gestapo musiało być dobrze poinformowane, gdyż razem z Frankiem aresztowano Stanisława Króla-Magla i Jana Pawlikowskiego — piekarza z Poronina, stałych uczestników „posiadów" przy radioodbiorniku. W czasie śledztwa w osławionym „Palace" w Zakopanem żaden z trójki aresztowanych do niczego się nie przyznał, ani nikogo nie wydał. Jednego dnia przyjechał do żony Franciszka tłumacz gestapo, zwany przez więźniów „Słowak", i oznajmił jej, że z polecenia męża ma wydać ukryty odbiornik, wtedy mąż zostanie zwolniony. Chcąc ratować męża Agnieszka wskazała miejsce ukrycia aparatu. Oczywiście Franciszka nie zwolniono, ale wyszli na wolność Król i Pawlikowski. Mostowego przewieziono do więzienia w Tarnowie. Następnym i ostatnim etapem w jego życiu był Oświęcim.

Opowiada Jan Skiba z Poronina:

— *Zostałem aresztowany przez gestapo 2 stycznia 1942 r. pod zarzutem posiadania broni. Pracowałem do wojny w Fabryce Broni w Radomiu i faktycznie przywiozłem do domu pistolet, ale ukryłem go poza domem. Katowali mnie w „Palace" w Zakopanem przez 3 i pół miesiąca — do niczego się nie przyznałem. Potem dwa i pół miesiąca siedziałem w więzieniu na Montelupich w Krakowie, następnie w więzieniu w Radomiu. 1 września przewieźli nas transportem do obozu w Oświęcimiu. Dostałem numer 62406. Byli tu już Poronianie — bracia Kupcowie, Jan Walkosz-Niebios i były policjant z Poronina — Faron. Tych spotkałem. Ze względu na posiadany fach przydzielono mnie do komanda pracującego w stolarni. Było to przy końcu grudnia 1942 r., albo na początku stycznia 1943 r., kiedy Fajkosz z Zakopanego, zatrudniony jako tłumacz, powiedział mi, że transportem z więzenia w Tarnowie przywieźli Franka Gutta-Mostowego z Poronina. Jak tylko nadarzyła się sposobność, poszedłem go odszukć na bloku. Ale poznałem go dopiero wtedy, kiedy się do mnie odezwał. Kiedy mnie przywieźli do Oświęcimia ważyłem 46 kilo, ale Franek Mostowy, którego znałem z Poronina jako wysokiego, dobrze zbudowanego chłopa, był jeszcze gorzej niż ja zmarnowany. To był cień człowieka, wychudły do szczętu. Pamiętam, że miał numer obozowy pomiędzy 137 a 138 tysięcy. Franek nie miał przydatnego w obozie fachu, skierowany został do łopaty, do komanda zatrudnionego przy regulacji rzeki Soły. Było to straszne komando: z 1000 ludzi, którzy wychodzili rano do roboty, 200 do 300 przynosili współwięźniowie martwych „na tragach". Przez stosunkowo krótki czas pobytu Franka Mostowego w Oświęcimiu odwiedzałem go parokrotnie, donosząc mu chleb i inne produkty, które udało mi się zdobyć w czasie pracy w stolarni. Jednego dnia byłem u niego z Walkoszem-Niebiosem, i wtedy opowiedział nam o swoim aresztowaniu i jak gestapo podeszło jego żonę. Licząc, że któryś z nas przeżyje Oświęcim, prosił o przekazanie żonie dyspozycji w sprawie córki. Chciał, aby się córka uczyła, gdyż uważał, że do gospodarki jest za słaba. Tylko około dwóch tygodni wytrzymał Franek Mostowy straszne warunki pracy nad Sołą (był styczeń) i warunki życia w 7 bloku Oświęcimia. Pewnego dnia otrzymałem wiadomość, że przynieśli go z roboty martwego. Upadł przy łopcie, podszedł do niego „post", kopnął w brzuch, ale Franek już nie wstał. Widziałem go jeszcze na wieczornym apelu leżącego wśród ofiar tego dnia. Na apelu musieli być wszyscy — żywi i martwi, rachunek musiał się zgadzać.*

●

Jan Skiba i Jan Walkosz-Niebios przeżyli Oświęcim, wrócili do Poronina i przekazali Agnieszce zlecenie jej męża. Gospodarowała ona po wojnie nadal sama, wychowując córkę Marię, którą posłała do gimnazjum. Agnieszka zapadała jednak coraz bardziej na zdrowiu, zaś gospodarka wymagała rąk do pracy, Maria wyszła więc za mąż za Józefa Świdra z miejscowej rodziny „Brzyscanów". Matka jej zmarła w 1959 r. w wieku 67 lat. Z małżeństwa Józefa i Marii urodziło się troje dzieci, jedno zmarło w wieku dziecięcym. Pozostali, wnuk i wnuczka Franka Mostowego, oboje po wyższych studiach, mieszkają w Poroninie. Przedwczesna śmierć zabrała ich matkę, Marię, w 44 roku życia. Z nielicznych, z pietyzmem przechowywanych przez wnuczkę pamiątek po dziadku wyróżnia się Krzyż Niepodległości, którym *zarządzeniem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 9 X 1933 r. został odznaczony Franciszek Mostowy Gutt*, oraz wpis do pamiętnika córki, Marii, datowany „Poronin 1940" treści następującej:

Pamiętaj, bądź zawsze uczciwą, a dla Twej Ojczyzny nie wahaj się oddać, co masz najdroższego, nawet życia. — Ojciec.

Słowa te, które wyrażają dewizę życiową Franka Mostowego, czytają dziś jego prawnukowie.

JAN GUTT-MOSTOWY

Dzieci do wzięcia

Kiedy Bożena zorientowała się, że jest w ciąży, wpadła w panikę. Na zabieg było już za późno, a ona zupełnie nie widziała siebie w roli matki. Zresztą... nie była nawet pewna, kto jest ojcem przyszłego dziecka. To stało się chyba na prywatce u koleżanki: Bożena przeholowała trochę z alkoholem i dała się zaciągnąć ledwo co poznanemu chłopakowi do pustego pokoju. Nie bardzo pamięta jak wyglądał a imię wyleciało jej z głowy. Nie przypuszczała, że ta chwilowa przygoda skończy się tak przykrymi konsekwencjami. Na szczęście lekarka podała jej adres Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Tam Bożena znalazła pomoc i opiekę.

Od kilkunastu lat działa w Nowym Sączu, przy Zarządzie Wojewódzkim TPD, Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy. W małym pokoiku przy ulicy Kunegundy podejmowane są sprawy decydujące o dalszym losie i życiu wielu osób. Co roku do Ośrodka zgłasza się około czterdziestu małżeństw pragnących zaadoptować dziecko. Nie od razu można spełnić ich marzenie. Na małego człowieczka, który pod względem prawnym kwalifikuje się do przysposobienia przez inną rodzinę, czeka się średnio około trzech lat. Zdarzają się jednak i ludzie, którzy przez pięć lat nie mogą się zdecydować na wybór wychowanka. Boją się adoptować dzieci ze środowisk zdemoralizowanych, potomstwo osób chorych psychicznie itp. Ważny bywa także wiek i płeć. Kłopoty są z rodzeństwami, gdyz niewiele osób decyduje się na przygarnięcie dwojga lub trojga dzieci naraz.

Mówi **Zofia Madziar**, kierowniczka Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego TPD: — *Prowadzimy ścisłą współpracę z domami dziecka, służbą zdrowia i placówkami oświaty w całej Polsce, co pozwala na wymianę dzieci, umieszczanie ich poza dotychczasowym środowiskiem. Najczęściej wysyłamy poza województwo sieroty społeczne narodowości cygańskiej. Zadaniem Ośrodka jest zapobieganie sieroctwu społecznemu i. zapewnienie zastępczych środowisk rodzinnych. Zgłaszają się do nas ludzie w wieku od 30 do 40 lat, którzy stracili już nadzieję na własne potomstwo i chcą zaadoptować dziecko. Badamy szczegółowo kwalifikacje kandydatów na rodziców, przygotowujemy ich do nowej roli, w miarę możliwości staramy się dobrać dziecko zgodne z ich oczekiwaniami. Niektórzy nie tracą potem z nami kontaktu, przychodzą pochwalić się swoimi adoptowanymi pociechami czy poradzić w przypadku kłopotów wychowawczych. Większość jednak unika Ośrodka, chcąc zapomnieć, w jaki sposób dziecko trafiło do ich domu.*

Spośród zgłaszających się do Ośrodka mało jest osób zdecydowanych na stworzenie rodziny zastępczej. Rodzin takich mamy w Nowosądeckiem około 500, przebywa w nich 600 dzieci. W przeważającej większości zastępczej opieki podejmują się krewni dziecka. Każda z tego rodzaju rodzin ma swojego opiekuna i korzysta ze zwiększonych zasiłków. Naturalni rodzice mogą kontaktować się z dzieckiem, ale nie wszyscy z tego prawa korzystają.

— *Nadal więcej mamy dzieci niechcianych niż tych, które podlegają adopcji* — mówi Zofia Madziar. — *W Państwowych Domach Dziecka rzadko trafiają się prawdziwe sieroty, większość wychowanków ma rodziców, którzy jednak nie pamiętają o swoim potomstwie. Zdarza się, że uregulowanie sytuacji prawnej dziecka przedłuża się, gdyż jego rodzice nie zgłaszają się na kolejne rozprawy sądowe lub zmieniają adresy. Także nie wszystkie przepisy prawne — mimo że mają na względzie interes dziecka przystają do życia. Mieliśmy np. chłopca, który przebywał w tygodniowym żłobku, na sobotę i niedzielę zabierano go do szpitala, a rok trwało załatwianie formalności związanych z adopcją. Utrudnieniem w naszej pracy jest także brak w województwie Domu Małego Dziecka, co zmusza nas do wysyłania malców do województw ościennych, a stamtąd już rzadko wracają.*

Niezbyt wielu rodziców, nawet ze środowisk z marginesu społecznego, dobrowolnie decyduje się na zrzeczenie praw do dziecka, przeważnie pozbawiani są tej władzy przez sąd. Zwykle na pewien czas. Dziecko zabierane jest więc do domu dziecka, ale nawet najlepszy nie może zastąpić rodziny. Dzieci tęsknią za kimś bliskim, czują się samotne. Jak im pomóc? Jednym ze sposobów są tzw. rodziny zaprzyjaźnione, które odwiedzają wychowanków domu dziecka, zabierają do siebie na święta czy wakacje, pamiętają o urodzinach i imieninach. Dziecko czuje się wówczas komuś potrzebne. Nawiązanie takiego kontaktu musi jednak wynikać z autentycznej potrzeby serca, nie można go przerywać z błahego powodu.

Osobny problem stanowią rodziny zastępcze terapeutyczne, które podejmują się opieki nad dziećmi z różnymi schorzeniami i upośledzeniami, co wymaga szczególnej cierpliwości, tolerancji i samozaparcia. Takich rodzin mamy w województwie zaledwie kilka. Niedawno wysłano poza nasz teren dziecko, którego matka cierpi na schizofrenię, gdyż tutaj nikt nie chciał go adoptować. Poza nasze województwo powędruje również dziecko z poważną wadą serca.

Mówi pedagog **Zofia Nomoncik**: — *W Ośrodku na pełnych etatach pracują tylko trzy osoby. Zajęcia więc nam nie brakuje. Mam jednak świadomość, że służę słusznej sprawie, bo przecież zapewnienie dziecku spokojnego dzieciństwa w rodzinnej atmosferze jest najlepszym bodźcem do dalszej działalności.*

DANUTA BINEK

Tetmajerowie (11)

Bracia Tetmajerowie pobytu Wincentego Pola w ludźmierskim dworze nie ogarniali już pamięcią, ale uczyli się poznawać rodzinny kraj i jego dzieje między innymi na dedykowanej w Ludźmierzu Adolfowi Tetmajerowi „Historii szewca Jana Kilińskiego", na „Pieśniach Janusza", poetyckiej kronice walk powstańczych 1830/1831 roku na Litwie, opiewającej żołnierskie męstwo i patriotyzm. Czytać nauczyli się na „Pieśni o ziemi naszej", tę bowiem książkę Julia Tetmajerowa wybrała jako elementarz dla syneczków. Po latach jeszcze wspominali swe chłopięce doznania powiązane z romantycznymi opisami poszczególnych regionów Polski, umiejętnie połączonymi ze zobrazowaniem zajęć i tradycji poszczególnych regionów kraju.

Również Wincentemu Polowi mali Tetmajerowie zawdzięczali swoje wielkie chłopięce sukcesy — doskonałą recytację jego patriotycznego wiersza „Grzmią pod Stoczkiem armaty". Tekst podzielili na dialogi i przed każdą publiczną deklamacją *dosłownie wodzili się za czuby i okładali piąstkami*, byle wybronić dla siebie ten najważniejszy w ich mniemaniu fragmencik:

Generale! to chwaty!
Wiodą cztery armaty...

Kiedyś nawet doszło do wyjątkowo „krwawej rozgrywki" na tym tle. *Kazio grzmotnął Włodzia piąstką między oczy. Biedakowi krew pociekła z nosa. Ledwom zatamowała. Bałam się krwotoku i już Józef zaprzęgał konie po doktora* — relacjonowała Julia Tetmajerowa. — *Dobrze, że się na tym skończyło, ale imaginuj sobie, lada moment Drohojowscy będą, a Włodzio, biedaczyna! ma podrapaną buzię, podpuchnięte czoło, a lada chwila i siniaki wyjdą. I co ja mam z nim począć? Jak uchronić przed kpiącymi spojrzeniami* (rówieśników)?

Poszkodowany samodzielnie wykoncypował honorowe wyjście — wystąpił jako inwalida, z ręką na temblaku i równie bezpotrzebnie zabandażowaną głową.

Sprawiedliwie ukarani zostali zakazem deklamacji, a po odjeździe gości, a najpewniej dopiero nazajutrz rano, tradycyjnym ustawieniem w kącie czyli w kątach „tyłem do pokoju".

Po wzajemnym, niezbyt bodaj długim boczeniu się Włodzimierz pierwszy przystąpił do pertraktacji.

— *Za te cztery armaty* — oświadczył — *oddaję ci tę nową flintę...*

Kazimierz milczał.

Włodzio coraz bardziej przymilnie kusił: — *Oddaję ci nową flintę, wszystkie patrony...*

A wciąż nie słysząc odpowiedzi, od nowa wyliczał: — *Za te cztery armaty oddaję ci: nową flintę, wszystkich polskich żołnierzy ulepionych przez Tatusia.* Wreszcie: — *Oddaję ci swoje pierworództwo i...*

Jaką obietnicę kryło wymówione: „i" — nikt nie doszedł. Dalszy ciąg tej słownej chwilowo, a hojnej darowizny zagłuszył bowiem donośny śmiech ojca, zakończony pytaniem: — *Czy i mnie, Włodziu, oddajesz za te cztery armaty?*

— *Nigdy* — zapewnił z całym przekonaniem i zaraz rozbeczał się długo, boleśnie, coraz donośniej świadcząc: — *Ja tylko z Tatusiem!*

Usadowił więc sobie ojciec powaśnionych syneczków na kolanach, utulił, pogodził i zapewne zamierzał rozpocząć dydaktyczną pogawędkę, gdy do pokoju wtargnęła pani Julia, zaniepokojona niezbyt zrozumiałymi z oddali odgłosami.

Czy to nie zauważyła chłopców na kolanach ojca, czy też nie chciała zobaczyć, w każdym razie „najgroźniejszym tonem" wydała polecenie: — *Każdy do swojego kąta, marsz! I stać, póki nie pozwolę ruszyć się, bo leguminy i deseru nie będzie!* — A miała być akurat ulubiona przez chłopców (ukochana — jak mówili) legumina z czekolady z migdałami, suto polana ubitą śmietanką.

Głucho jęknęli i czym prędzej powrócili na wyznaczone przez matkę miejsca kary. Ojciec solidarnie zajął kąt trzeci i również stanął tyłem do pokoju.

— *Cóż to za błazenada...* — jęła irytować się w języku francuskim pani Julia zapominając, że przed niedawnym czasem w liście do siostry sławiła zdolności chłopców i parokrotnie zaznaczała, że już zupełnie swobodnie porozumiewa się z obydwoma w tym języku.

Używane przez matkę sformułowania, choć nie wszystkie dosłownie zrozumiane, dopomogły obu braciszkom do momentalnego puszczenia w niepamięć doznanego upokorzenia, wypływającego ze stania w kącie, a wyzwoliły w nich wrodzoną swawolę. Włodzio wiercił się. Kazio dłońmi zakrywał usta, najpewniej uśmiech. Dla zapewnienia bezpieczeństwa ukaranym pan Adolf ni z tego ni z owego zaczął wylewnie wychwalać nadzwyczajną urodę *tych przepysznych goździków z Warszawy, które właśnie rozkwitły pełną krasą, stając się nie tylko prawdziwą ozdobą ogrodu, ale wprost pieszczotą oczu.* Sławił róże, które w tym roku *rozkwitły tak wspaniale jak jeszcze nigdy dotąd*, wyjątkowo dorodne kwiaty malw, ozdobne cyprysiki i tyle, tyle innych, których hodowla stanowiła punkt honoru jego małżonki.

Pani Julia, mimo pozorów osoba o ogromnym poczuciu humoru, wyraziła w końcu najwyższe zdumienie: — *Czemuż to chłopcy słoneczny dzień marnują w domu?* — i czym prędzej poleciła zabawę w ogrodzie.

Nim wybiegli, zobowiązali się do przestrzegania kolejności w recytowaniu ulubionego fragmentu wiersza pana Pola; ojciec wydzielił w kalendarzu osobną rubrykę, w której będzie notował, kiedy który z syneczków ostatni deklamował o tych czterech zdobytych armatach. A jeśli jeszcze raz na tym tle dojdzie do burdy, wiersz raz na zawsze zostanie wykreślony z popisowego repertuaru chłopców.

A był to, jak na wiek obu, repertuar niezwykle bogaty, bo ballady i wiersze patriotyczne pana Mickiewicza (tak obaj bracia mówili wówczas o wieszczu), i najistotniejszy fragment jego Wielkiej Improwizacji z trzeciej części „Dziadów", fragmenty utworów Słowackiego (*wielkookiego, przedobrego Julka* — według wyrażenia Adolfa Tetmajera), i wiersze patriotyczne poetów, których nazwiska dzisiaj już nic nie mówią, a wówczas były potocznie znane.

Do takich zapomnianych twórców należy też i bardzo bliski krewny Włodzimierza i Kazimierza Tetmajerów, stryjeczny brat ich ojca, Józef Tetmajer, w latach dojrzałych ceniony, szeroko znany matematyk, członek najwyższych rangą towarzystw naukowych zagranicznych i krajowych. W młodości doskonale zapowiadający się poeta, choć nie brakowało i takich, którzy jego debiutancki tomik obrzucili inwektywami w rodzaju *grubiański parafializm*. Z jego kilkunastu wierszy parę wciąż jeszcze zasługuje na pamięć i uwagę. Szczególnie apeluje o nie, anonimowo dziś nadawana w radio, a i publikowana w okolicznościowych wydawnictwach, dobrze znana żołnierzom lat 1830/31 „Pieśń wojskowa", zaczynająca się od słów:

Jak wspaniała nasza postać,
Jak się w słońcu błyszczy stal...

Tę to pieśń Kazimierz Tetmajer w jednym z wierszy do swego syna, Kazimierza Stanisława, napisanym około roku 1909, określił: *nasza rodna pieśń ułańska*. Włodzimierz Tetmajer jej strofki umieścił na nagrobku ukochanego syna Jana Kazimierza, poległego w roku 1920 w szarży pod Stanisławszczykiem i pogrzebanego na cmentarzu w Bronowicach Wielkich.

„Pieśnią wojskową" Józefa Tetmajera mali Tetmajerowie rozpoczynali swoje popisy deklamatorskie. Okazji nie brakowało: przyjazd krewnych, odwiedziny ojca, rzadziej matki przez *jakieś dziwnie dostojne osobistości, które całowaliśmy z uszanowaniem w rękę* — wspominał Włodzimierz.

(ciąg dalszy za tydzień)

KRYSTYNA JABŁOŃSKA

Twórczość amatorów

W starosądeckim Domu na Dołkach wystawiali uczestnicy IX Konkursu Plastyki Nieprofesjonalnej, zorganizowanego przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. W konkursie wzięło udział blisko osiemdziesięciu amatorów, członków Klubu Twórczego Towarzystwa, w większości mieszkańców Nowego Sącza, Jazowska, Muszyny i Szczawnicy. Zaprezentowali się także zakopiańczycy i nowotarżanie, twórcy z licznych wiosek województwa oraz goście z Tarnowa i Warszawy.

Jury, któremu przewodził **Alojzy Manna** (wiceprzewodniczący Zarządu Towarzystwa), nagrodziło i wyróżniło czterdziestu amatorów. W malarstwie I nagrody przyznano: **Barbarze Cichy** z Krynicy, **Janowi Tadeuszowi Czechowi** ze Starego Sącza (za grafikę), **Ryszardowi Miłkowi** i **Elżbiecie Szudy** z Nowego Sącza, II **Alicji Czernik** z Nowego Sącza, **Florianowi Nowickiemu** z Krynicy i **Janowi Papieżowi** ze Szczawnicy. W rzeźbie I nagrodę uzyskał **Stanisław Zegartowski** z Nowego Sącza, II — **Kunegunda Jeżowska** ze Złockiego, **Marian Mółka** i **Marian Pażucha** z Nowego Sącza. W dziale tkaniny artystycznej I nagrodę otrzymał Jerzy Sikora z Nowego Sącza, II — Barbara Bitner z Zakopanego (za gobeliny), w hafcie najlepsze okazały się: **Elżbieta Kowalska** i **Stanisława Wrzosek** z Nowego Sącza (II nagrody, I nie przyznano).

Członkowie Klubu wystawiali także w pierwszej połowie sierpnia w Warszawie. Z inicjatywy Warszawskiego Klubu Przyjaciół Regionów Nowosądecczyzny, sądeckie Muzeum Okręgowe oraz Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, przy wsparciu warszawskiego Towarzystwa, urządziły ekspozycję złożoną z blisko 150 prac. W Galerii „Stara Kordegarda" w Łazienkach można było obejrzeć Sądecczyznę i Podhale widziane oczyma twórców amatorów. Dominowały krajobrazy z Tatr i Pienin, pejzaże zabytkowych miasteczek nad Popradem i Dunajcem, wizerunki starych cerkiewek, młynów i wiejskich chat. W obrazkach malowanych na szkle prezentowały tematy zaczerpnięte z góralskiego folkloru. Rzeźbiarze zaprezentowali figurki tradycyjnych świątków, zbójników i muzykantów góralskich kapel, twórcy gobelinów — tkane pejzaże Doliny Popradu i Nowego Sącza. Górską przyrodę, nasze uzdrowiska i regionalne zespoły przedstawił w cyklu fotogramów **Juliusz Jarończyk** z Krynicy.

Ł.K.

Andrzej B. Krupiński

Naddunajeckie grody, stróże i zamki (21)

Tajemnica potomków Tupac Amaru

Historia, którą zamierzam teraz opowiedzieć, wydaje się tak tajemnicza i zawiła, że aż nieprawdopodobna. Wiąże się ona bezpośrednio z tragicznymi dziejami ostatniego króla inkaskiego Tupac Amaru i losem jego potomków, a początkami swymi sięga 2 połowy XVIII wieku oraz dalekiego Peru. Główny zaś jej wątek obraca się wokół dramatycznych wydarzeń związanych z tajemnicą legendarnego skarbu Inków, który według jednych miał zostać zatopiony w nurtach jeziora Titicaca, a według innych przewieziony do Europy i ukryty na Spiszu. Zacznijmy jednak od początku.

Przypuszczalnie tuż po 1750 roku potomek węgierskiego rodu Berzeviczych — którzy w początkach XIV wieku zbudowali zamek w Niedzicy, określany przez wieki jako Dunajec — Sebastian Berzeviczy wyjechał w poszukiwaniu majątku, a zapewne i przygód do Ameryki Południowej. Po jakimś czasie dotarł do Peru i tam ożenił się z Indianką pochodzącą ze szlacheckiego rodu, z którą miał córkę imieniem Umina. Około 1781 roku Umina poślubiła bratanka wodza inkaskiego Tupac Amaru, noszącego to samo imię. W tym samym mniej więcej czasie Tupac Amaru (starszy) wzniecił powstanie Inków skierowane przeciw hiszpańskim ciemiężcom. Po pięciu latach walk powstanie upadło. Stolica Inków, Cuzco, została zdobyta przez Hiszpanów i zrównana niemal z ziemią, a dzielny wódz inkaski stracony. W tej sytuacji bratanek króla Tupac Amaru, mąż Uminy został jedynym pretendentem do tronu Inków. Nie mogąc jednak pozostać w Cuzco, a nawet w Peru, ucieka wraz z żoną, teściem Sebastianem oraz innymi ocalałymi z pogromu wodzami za ocean, uwożąc z sobą część skarbu Inków. Zatrzymują się we Włoszech, w których znajdują schronienie na kilkanaście lat, od 1783 do 1797 roku. Ich spokojną egzystencję przerywa w sposób niespodziewany tragiczna śmierć Tupac Amaru, który w tajemniczych okolicznościach zostaje zasztyletowany. Teraz Sebastian Berzeviczy w obawie o życie córki i wnuka, prześladowanych przez Hiszpanów, ucieka wraz z nimi na Węgry.

Jak pamiętamy, w tym czasie zamek niedzicki był już w posiadaniu Horváthów, ale w dalszym ciągu stał nie zamieszkały. W związku z tym Berzeviczy, uszczuplając nieco ze skarbu Inków, otrzymał zgodę na zamieszkanie w nim. Ale i tam wkrótce odnajdują ich nieznani prześladowcy: Umina ginie zasztyletowana i zostaje pochowana w krypcie pod kaplicą zamkową. Teraz Sebastian Berzeviczy, będąc człowiekiem już niemłodym, postanawia znaleźć liczącemu niewiele ponad rok wnukowi odpowiednich opiekunów. Wybór jego pada na bratanka, Wacława Benesza Berzeviczy mieszkającego w Krumłowie na Morawach. W rezultacie, dnia 21 czerwca 1797 roku na zamku niedzickim spisany zostaje akt adopcji małego Antonia Tupac Amaru przez Wacława Benesza, na którym to akcie podpisy swoje złożyli również przybyli z Włoch wodzowie inkascy, tworzący Radę Emisariuszy Inków. Zaraz potem Sebastian Berzeviczy wyjeżdża do Krakowa, gdzie w kilka miesięcy później umiera w tamtejszym klasztorze Augustianów. Mały Antonio zaś zostaje zabrany przez swego przybranego ojca do Krumłowa. Fakt ten potwierdza wpis dokonany w księdze metrykalnej tamtejszego kościoła w 1798 roku. Od tej pory syn ostatniego wodza Inków zwać się będzie Antoni Wacław Benesz.

Późniejsze losy ostatniego Tupac Amaru są nam niemal zupełnie nie znane. Wiemy tylko, że wychowywał się na Morawach, że z czasem niemal zupełnie się zniemczył, i że ożenił się z Polką, z którą miał dwie córki i dwóch synów: Ernesta i Wilhelma. Umierając w roku 1877, przekazał wszystkie pamiątki po przodkach synowi Ernestowi, nakazując mu jednocześnie, aby nigdy pochodzeniem ich i znaczeniem się nie zajmował, jako że dziedzictwo to przynosi nieszczęście. W ten sposób doszło do całkowitego niemal zaniku tradycji pochodzenia od Inków tej linii rodu Beneszów.

Dopiero praprawnuk Antonia Tupac Amaru Benesza, Andrzej Benesz postanowił wyjaśnić tajemnicę pochodzenia swych przodków. Poszukiwania doprowadziły go do archiwum krakowskiego kościoła św. Krzyża, w którym znalazł akt adopcji swego prapradziada z 1798 roku i zapis zobowiązujący Wacława Berzeviczy'ego do ukrycia testamentu Inków pod progiem bramy wejściowej do zamku górnego w Niedzicy. Dnia 31 lipca 1946 roku Andrzej Benesz, w obecności przedstawicieli miejscowych władz, przybył na zamek i wydobył z zamurowanej skrytki ołowianą rurę długości 18 cm, we wnętrzu której znalazł pęk rzemieni powiązanych węzłami, zaopatrzonych w przywieszone złote blaszki. Było to tak zwane *quipu*, przykład stosowanego przez Inków zapisu szczególnie ważnych informacji, którego sztuka odczytania zanikła wraz z ich całą przebogatą kulturą, unicestwioną przez hiszpańskich konkwistadorów i jezuickich misjonarzy. Należy przypuszczać, iż „dokument" ów zawierał informacje o miejscu ukrycia skarbu Inków, ale zapewne nigdy nie zostanie odczytany. Nie wiemy nawet, jakie są dziś jego losy, jako że po tragicznej śmierci Andrzeja Benesza, który zginął w wypadku samochodowym, ślad po tajemni-

JAN POPRAWA

GWIAZDOZBIÓR

Pietrzak

O siódmej nad ranem hotelowa knajpa w Opolu była już prawie pusta.

W kącie tylko siedziało cicho kilka osób. Danuta Rinn, Ewa Dałkowska, Ela Zającówna, Krzysio Jaroszyński. i solenizant: szpakowaty pan po pięćdziesiątce, w okularach. Niepozorny pan Jan Pietrzak. Ucałowaliśmy się serdecznie. — *Sto lat, Janku* — powiedziałem. — *Sto lat, Janku* — powtórzył jak echo. Na zmęczoną twarz wpełzł mu lekki uśmiech. — *Siadaj* — powiedział. — *Teraz są prawdziwe imieniny pana Janka.*

I siedzieliśmy w pustej knajpie, kilka osób bliskich sobie i dalekich zarazem. Jeszcze przed trzema godzinami moi towarzysze obchodzili sceniczne „imieniny pana Janka" w opolskim amfiteatrze. Jeszcze niedawno rozśmieszali, szydzili, wygłupiali się. Byli ucieleśnieniem radości, śmiechu, inteligencji.

Pomyślałem sobie: oto prawda. Tych kilka śmiertelnie zmęczonych pracą osób odpoczywało tak właśnie, milcząc we własnym towarzystwie. Czasem mówiąc coś obojętnego. Satyrycy nie żartowali, piosenkarki milczały. I — o dziwo — czułem się dobrze wśród nich. I wiedziałem, o czym milczą. Oni też jakby czerpali siłę z tego, jakże innego niż na scenie, bycia razem.

I w ten poranek jasny, choć półrealny myślałem o przepaści, jaka dzieli prawdziwego, realnego człowieka — od jego obrazu zapisanego w milionowej wyobraźni. Pietrzak jest w Polsce naszych czasów synonimem kabaretu politycznego. Zdystansował się w tej dziedzinie od potencjalnych konkurentów, nie ma równych. Pracował na tę pozycję przez lata. Od wczesnych młodzieńczych inicjacji w warszawskich „Hybrydach" (na początku lat sześćdziesiątych), przez odradzającą się jak Feniks z popiołów „Egidę". Ale ostateczny kształt Pietrzaka, jakiego znają i kochają Polacy — ukształtował się, o dziwo — w zgoła niekabaretowym czasie „Solidarności". Wydawać by się mogło, że nie robił on wówczas niczego więcej, niż inni satyrycy czy kabareciarze. Na pewno nawet robił mniej, niż niektórzy: na przykład nie występował na dachu autobusu, nie podlizywał się ulicznym manifestantom, nie ośmieszał serwilistycznym podejmowaniem pod nogi każdego samomianowanego idola sfermentowanego tłumu. Ale mimo to właśnie on stał się najpełniejszym wyrazicielem masowych opinii i masowej świadomości. I jego to teksty, jego słowa zostały wzięte na sztandary, zostały wzięte za swoje...

Ów okres, który możemy dziś śmiało rozpatrywać w kategoriach historycznych — w szczególny sposób weryfikował wiele artystycznych propozycji. Bez związku zresztą z ich artystyczną czy moralną wartością. Dość powiedzieć, że większość skontestowanych studenckich balladzistów, z Jackiem Kaczmarskim na czele — nie zdobyła uznania u strajkujących robotników. Po prostu język ich sztuki był — jakby to powiedzieć — inteligencki, zbyt wysublimowany.

Co innego Pietrzak. Jego kabaretowy styl, ukształtowany zresztą o wiele wcześniej — był stylem wiecowego mówcy, prowincjonalnego retora, brata — łaty, swojego chłopa. Pietrzak zawsze starał się mówić prosto, normalnie, „jak Polak z Polakiem". Jego niezliczone „życiorysy" były kabaretowymi opowieściami o normalnym życiu. Tyle że wypranym z frazesów, z opisów przyrody i tak dalej: pozostawało to, co cechowało Polskę właśnie. Zbiór paradoksów. W ustach Pietrzaka, odcedzone ze zbędnej wody, wyłaziły na wierzch wszystkie słowne (i nie tylko) nonsensy. Jak ów *członek wyłoniony z ramienia*, jak wiele innych powiedzonek. Pietrzak niczego na ogół nie „uśmieszał". On tylko wydobywał, to co śmieszne. I ludzie czuli, że mają do czynienia z rzeczywistością, że śmieją się z czegoś bardzo realnego. Ludziom pomagało to, że obiekt ich szyderczego śmiechu był bliski i konkretny...

W owym czasie stał się prawie cud: oto wierszyk ułożony przez Janka, „Żeby Polska była Polską", nie mający wcale ambicji zastępowania hymnu, ani nawet walorów artystycznych — stał się pieśnią narodową. Pietrzak zażył losu Wybickiego czy Delavigne'a! Stał się (niechcący) wieszczem...

Kabaret polityczny to straszna dziedzina. To praca minera na nierozbrojonym polu. To stałe testowanie cudzych granic wytrzymałości. Kabaret Pietrzaka jest zasługą jego samego. Współpracownicy nie wytrzymali, wietrzeli, łamali się, uciekali. Pietrzak — był i jest. — *I mam nadzieję — będzie* — bąknąłem w tej ciszy porannego wieczoru. Janek popatrzył na mnie zza amerykańskich okularów. I bardzo cicho powiedział: — *Jeśli myślisz o tym, o czym i ja myślę — to mogę obiecać.*

Szpakowaty starszy pan. Idol milionów. Rozśmieszacz. Ta niewyparzona gęba, która w ich imieniu kpi sobie z tego, z czego i oni chcieliby zakpić. Gdyby tylko umieli, gdyby się nie bali, gdyby w ogóle... Głos Polaków, Jan Pietrzak.

czym *quipu* zaginął, a zagadka legendarnego skarbu Inków nadal czeka na rozwiązanie.

Baron Andrzej Horváth, który w roku 1817 osiadł na stałe w zamku niedzickim, nie przypuszczał nawet, jakie tajemnice kryje jego nowa rezydencja. Był to typ feudała w dawnym stylu, o wielkopańskiej fantazji i przedziwnych pomysłach. Będąc człowiekiem niezwykle gościnnym, zdawał się nie mieć innych zmartwień, jak tylko umilanie pobytu swym licznym gościom przebywającym w Niedzicy. Ze szczególnym zamiłowaniem organizował huczne, wielodniowe zabawy, których barwne opisy znajdują się we wspomnieniach kronikarskich tamtych czasów. I tak na przykład podczas jednej z takich zabaw, trwającej bez przerwy trzy dni i trzy noce, w której uczestniczyło dwustu gości, zaskoczył wszystkich pomysłem obicia łopatą na jej zakończenie wszystkich tych, którzy przebywali na zamku po raz pierwszy. W rezultacie na ustawionej pośrodku wielkiej sali zamkowej kanapie zarówno panowie, jak i panie otrzymali po trzy uderzenia łopatą. Innym znów razem zaprosił do Niedzicy pięćdziesięciu węgierskiej szlachty, z którymi przez dwa tygodnie ćwiczył jazdę konną i picie węgrzyna.

Po śmierci Andrzeja Horvátha w roku 1828 niedzicki zamek przejął jego brat Ferdynand, po nim zaś syn tegoż, zmarły przedwcześnie w roku 1857 Aleksander, ostatni właściciel Niedzicy z rodu Horváthów. Z kolei spadkobierczynią została siostra jego, Kornelia, która wyszła za Salomona Alapi, po niej zaś jej synowie: Aladar, Géza, Tivador i Attila Salomonowie. W połowie XIX wieku zamek spłonął, a odnowiony przez Salomonów w roku 1869, przypadł z kolei Teodorowi Salomonowi, ożenionemu z hrabiną Gizellą Csáky. W rękach ich potomków pozostał zamek niedzicki aż do 1945 roku. Trzy lata później przejęty został przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a następnie przekazany Stowarzyszeniu Historyków Sztuki z przeznaczeniem na ośrodek pracy twórczej, którą to rolę spełnia po dziś dzień, będąc jednocześnie obiektem stricte muzealnym z salami, komnatami i sklepionymi izbami podziemi mieszczącymi stałą ekspozycję wnętrz zamkowych, w których prezentowane jest ich niegdysiejsze wyposażenie oraz portrety dawnych jego właścicieli, okazy pienińskiej fauny i flory, stare zegary oraz zabytki etnograficzne i archeologiczne — te ostatnie pozyskane w głównej mierze podczas prowadzonych od wielu lat badań archeologicznych i prac renowacyjnych zamku.

Powiedzieliśmy dotychczas dość dużo o historii zamku, przedstawiając zmienne koleje jego losu, prezentując gospodarujących na nim jego właścicieli. Ale zamek niedzicki, to przede wszystkim niepowtarzalne dzieło architektury obronnej i rezydencjonalnej, a także jeden z głównych elementów krajobrazowych Polski południowej. Pod tym względem nie ma on sobie równego, toteż pominięcie tych jego walorów byłoby niewybaczalnym błędem. Przedstawimy je zatem w kolejnym odcinku opowieści o naddunajeckich grodach, stróżach i zamkach.

(c.d.n.)

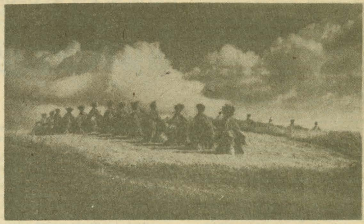

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Krystyna Dulak

Lipa

Ta lipa przy „Świetlanie" — kopuła pochnych roi,
cienistem otuleniem wiecnie mi w ocach stoi.
Choć róg nasego pola pod cień se przywłoscuła
i Żałoś było patrzeć, ze jawnie tak grzysuła
przeciw Tatowem potom i ziornu co z oktuse
spęcnieniem oziminy pęcniało w środku duse
Ta lipa, ta kopuła co tyle nagrzysuła
zapachem tamtych roi
wiecnie mi w ocach stoi.

Pod lipą zdarto ławka o wyscyrbanych ziobrach
wymyśnem nóg przyklękiem zaproso w lipne dobra;
Siadejcie goście mili, chlipnijcie troche cienia
w pszczeli festyn w lipcu, pszczelego rozmodlenio
i wy na wargi weźcie, niek dusa wom zlekceje
bo to nojkrótsy miesiąc i jego miododzieje
przepadną jak chrobocki o świętojańskiej mocy —
to zmarłych nowiedzenie w cyrwcowy krótki nocy.

Siadejcie.

Nojprędzy tam przysiadoł, honoru broniuł dziadom,
mój Franuś-rozseptaniec, co chód mioł jakby w taniec
go błędne wzioły pszczoły, pijane od wonności,
wodewil z tego miała chołoć przyjezdnych gości.
Ale grosiwo niesły, a dziod sie kwioł w podzięce
i jesce dokładały i jesce kciały więcy,
bo dziod ciniućkim głosem jak polno, mało myska
„Bóg zapłać" po trzy razy i uśmiych słoł w dzieciska.
A potem na gornusie se swój dorobek miyrzoł
i całą bożą zime grosiwem w scęściu smyrzoł.

Pół cwarta, pół pięta, gornusie pękate,
a jesce przybędzie kiej jutro se smate
okręce przez oko i udom ślepego,
pod lipą przyklękne śród bzyku miodnego.

Musiała, oj, ta lipa ze wszystkich wyć korzeni
kiej przysły poń siepace i nadpopradzki ziemi
wyrwali ją na wieki, na wieki wieków amen
i w serce mi wstawili nogrobny, ciężki kamień.

Musiała sie ta lipa zamienić w trząś-osike
kiej piuła przy gardzieli śmiertelną ji muzyke
na rozkoz chłopy-drwale, na piecęć, hań z powiatu
rozpętać ji musieli śród miodrodnego kwiatu.

A mogła, dyć, ta lipa, jak lipa w Cornolesie
przez wieki zwobiać gości, herbatą pochnieć w mieście.

A mogła, dyć ta lipa — cienisto rój-kaplica
jednako winem dzielić i gości i Piwnican.

Kiej w cisy niedzielniany by przysiąś na jyj ławie,
to mozno sie dosłuchać msze święte w główny nawie.
Biyl-kościół noprzeciwko wydychoł mir-kadzidła
i słoł na przenik zdroju i miysoł je w wonidła
lipy.

Musiała, oj, ta lipa za Frankiem wyć w koronach
kiej soki z nie spływały w śmiertelnych, zywych ciorach.

I ni ma krajobrazu, pozostoł wirs-pieśnicka.
Był Franuś, byłam jo i lipa niebożycka.

(Z cyklu „Podzładoskiem ślakiem")

BRONISŁAW KŁOSOWSKI

PRZEZ GRANICĘ

Zimą 1940 roku, kiedy Włochy nie przystąpiły jeszcze do wojny, a Węgry nie były zajęte przez armię niemiecką, zbiegli z niewoli polscy żołnierze i oficerowie, jak i ci, którzy weszli w konflikt z okupantem, masowo opuszczali ziemie polskie i uciekali na południe.

Jedna z tych dróg prowadziła przez Tatry. W akcji kwaterunku, przewodnictwa i zaopatrzenia w żywność brała udział duża część ludności Zakopanego.

Było nas trzech: Stanisław Kopkowicz, lat 18, jego rówieśnik Franek Śnieżek zwany „Woks" i ja, lat 16. Zbieraliśmy bandaże, sprzęt dla uciekinierów i uczyliśmy ich podstawowej jazdy na nartach. W pogodne dnie ciche polanki i pagórki roiły się od kursantów. Wystarczyła jednak tylko jedna śnieżysta noc, a okolice pustoszały, gdyż taka pora najbardziej sprzyjała przejściu na czeską stronę.

W taki śnieżny wieczór, gdy rozsądny człowiek siada pod piecem, bojąc się wychylić z domu głowę, przyszedł do nas Staszek Kopkowicz i bardzo podekscytowany zawiadomił mnie, że jesteśmy potrzebni, by doprowadzić do granicy dziewięć osób. Brakło przewodników, a grupa ta nie mogła pozostawać już dłużej na terenie Zakopanego. Ze strachu i emocji zrobiło mi się gorąco, a nogi przybrały nieco galaretowatą konsystencję. Wielka przygoda ciągnęła jednak nieodparcie.

Co powiedzieć chorej matce? Staszek wolał pozostać w korytarzu. Podszedłem do łóżka matki i nieswoim głosem oznajmiłem po prostu, że muszę wyjść na wieczór w ważnej bardzo sprawie. Nie chcę chodzić po mieście po godzinie policyjnej, zostanę na noc u kolegi. Matka wiedziała, że kłamię. Odłożyła książkę i przypatrując mi się badawczo, nieco zaniepokojonym głosem wyraziła aprobatę. Była jedyną osobą w domu, która wiedziała, że konspirujemy. Uważała to jednak za dziecinną zabawę będącą rezultatem patriotycznego wychowania, i postanowiła nie gasić w nas nienawiści do wroga.

Zdążyłem tylko ubrać się ciepło, chwycić z szafki na schodach bułkę i kawałek kaszanki i już byliśmy w drodze przez białe pagórki. Wiało okropnie. Dziewięć osób musieliśmy przeprowadzić przez Pyszniańską ku Dolinie Cichej. Tam naszą grupę przejąć miał przewodnik słowacki. Kierownikiem był Kopkowicz, który już raz brał udział w podobnej przeprawie. W lasku za Wierchem w pobliżu Drogi pod Reglami czekał Franek z całym towarzystwem. Nie wchodziliśmy od razu na ubity trakt, gdzie krążyły patrole straży granicznej. Najpierw do drogi przekradł się Śnieżek, a stwierdziwszy, że panuje na niej spokój i cisza, dał znak światłem kieszonkowej latarki. Wąż złożony z jedenastu osób cicho jak cień wypełznął z lasu i wszedł na ubitą ścieżkę. Było już bardzo ciemno. Ale i na Drodze pod Reglami nie było bezpiecznie. Posuwaliśmy się w szyku ubezpieczonym, tzn. jeden szedł kilkadziesiąt metrów naprzód, a inni nie samą drogą, lecz poboczem lasu. Pogoda była jedyna, specjalnie wybrana na podobne wyprawy. Padał gęsty śnieg, od czasu do czasu podwijany falami wiatru.

Na przejściu z doliny Za Bramką do Małej Łąki rozpoczęła się dla nas naprawdę ciężka praca. Na zmianę torowaliśmy drogę w głębokim śniegu. Nasi goście byli dość wprawnymi narciarzami i pomagali nam w deptaniu śniegu. Wyjątek stanowiła kobieta z dzieckiem, pozostająca stale na końcu kolumny. Dzieciak miał około 12 lat, ale na razie spisywał się nieźle. Musieliśmy wyminąć silnie obsadzoną przez patrole Dolinę Kościeliską i dlatego z Małej Łąki zjechaliśmy na odwieczny bór Wantule, a stamtąd rozpoczęło się przedostatnie podejście na ramię Ciemniaka. Kto nie szedł w głębokim śniegu pod stromą górę, ten nie wie, ile trudu kosztuje przebijanie się przez sypki puch. My byliśmy jednak niezmordowani, a nasi uciekinierzy nawet z humorem zmieniali nas w torowaniu drogi przez głębokie nawisy i zaspy. O ile przy wejściu na Drogę pod Reglami serce niepokoiło się ze strachu i emocji, o tyle gdy dosięgnęliśmy ramienia Czerwonych Wierchów, strach ustąpił zmęczeniu i czuliśmy się panami śnieżnej okolicy.

Teraz zjazd do Doliny Tomanowej — bardzo ostrożny i w milczeniu, gdyż tam również bywali Niemcy. W śnieżycy, po omacku szukaliśmy znanej nam dobrze drogi. Widoczność sięgała kilku metrów i posuwająca się w milczeniu kolumna nie była praktycznie narażona na żadne niebezpieczeństwo. Tylko te podejścia dawały szkołę. Czekało nas jeszcze jedno. Może najgroźniejsze, bo i siły pomału się wyczerpywały.

Z Tomanowej, znaną percią nad Stawem Smreczyńskim, poszliśmy w kierunku Hali Pysznej, zbliżając się do schroniska zajmowanego przez niemiecką straż graniczną, tzw. Tirolenjäger. To był najbardziej niebezpieczny odcinek drogi. Musieliśmy przejść w odległości dwustu metrów od obsadzonej placówki, gdzie były specjalnie tresowane psy. O tym wiedział tylko Staszek Kopkowicz; my dowiedzieliśmy się później.

Mijały godziny. Droga zdawała się bez końca. Byle dosięgnąć przełęczy, a potem grupę odbiorą Słowacy. Ja, szesnastoletni chłopiec, czułem się bardzo ważny i z dumą spoglądałem na prowadzonych przez nas uciekinierów. Może wśród nich są ludzie znakomici? Może to są żołnierze z armii generała Kleeberga, który dopiero tydzień po upadku Warszawy skapitulował pod Kockiem, broniąc się rozpaczliwie ze szczątkami armii polskiej przeciw przeważającej sile wroga? Naprawdę byłem dumny ze swojej misji i myślę, że moi towarzysze czuli to samo.

Po minięciu Smreczyńskiej Hali napadł mnie tak silny atak głodu, że musiałem zjeść przygotowaną kanapkę z kiszką. Była zimna, ale ogromnie smakowała.

Zmęczeni, w ciszy rozpoczęliśmy ostatnie podejście pod Pyszniańską Przełęcz. Śnieżyca przybierała na sile. Płatki śniegu zalepiały oczy, a nas cieszyło, że w tej szarudze jesteśmy bezpieczni, odcięci od świata i niemieckich patroli.

Już tylko parę godzin dzieliło nas od Przełęczy. Matka z chłopczykiem pozostawali coraz bardziej w tyle.

Oto ostatnie podejście. Minęliśmy granicę lasu i weszliśmy w kosówkę rozciętą polanami śnieżnej masy. Nagle zamieć ustała. W chmurach rozwarła się szczelina, odsłaniając pod nami Halę Pyszną, gdzie znajdowała się placówka straży granicznej. Skuleni, w strachu, z napięciem przyspieszaliśmy tempo pochodu. Byle jak najbliżej przełęczy, byle jak najbliżej granicy.

Staszek rozkazał, abym wyszedł na torującego, a sam zajął się małym. Cała trójka została już około dwudziestu metrów za nami, co niepokoiło nas coraz bardziej. Nagle z dołu, z Hali Pysznej, usłyszeliśmy jakieś krzyki i trzy plamki oderwały się od granicy lasu. To byli Niemcy.

Małe kropeczki, jeszcze odległe na białej płaszczyźnie oświetlonej przez złośliwy księżyc, ruszyły w pogoń za zmęczoną całonocną wędrówką kolumną. Padły dwa strzały. Pociski ćwierknęły dość daleko, lecz my odczuliśmy je wszystkimi nerwami. Grupa przyspieszyła tempo, dążąc za garb stoku stanowiący dla Niemców ślepe pole.

Zapytacie zapewne, co to jest ślepe pole. Otóż to jest garbata góra, z której szczytu nie widać podnóża, gdyż garb ten właśnie je zasłania. Takich garbów bywa kilka przed szczytem każdej tatrzańskiej góry i kilka jest też ślepych pól.

Ze ślepego pola patrol graniczny nie potrafił nam już chwilowo zaszkodzić i byliśmy bezpieczni, ale ten chłopiec i ta mama... Krok za krokiem zostają w tyle. Na zmianę próbujemy ich dopingować i ciągnąć za kije. Nerwy zaczynają nam odmawiać posłuszeństwa. Całe ciało staje się naelektryzowane. Czujemy, jak Niemcy zbliżają się z minuty na minutę, a do zjazdu jest jeszcze daleko.

Zniknęło ślepe pole i widzimy Tyrolczyków już znacznie bliżej. Znów strzały i ostrzegawcze krzyki. Szarpiemy się dalej. Torujemy drogę w głębokim śniegu na zmianę. Rozpacz i strach dodaje nam siły. Serce podchodzi do gardła i tętno bije młotami w skroniach. Znów trafiamy na ślepe pole i czujemy się chwilowo bezpieczni, ale przeciwnik jest twardy. To świetni narciarze i biegacze. Nie można ich porównać ze zbieraniną ludzi, którzy pierwszy raz biegną na nartach. Tyrolczycy zbliżają się z minuty na minutę. Już widzimy, jest ich dwóch i pies. Dalej w dolinie wystartował następny zespół — około pięciu osób. Ci są jeszcze daleko i nie stanowią dla nas większego niebezpieczeństwa.

Znów ślepe pole, ale przeciwnik na pewno blisko. Przez świst wzmagającej się znów wichury słychać ujadanie alzackiego owczarka. Czujemy, że Niemcy wciąż bliżej i bliżej, chociaż osłania ich biały garb zatumaniony śnieżycą. Strach czy rozpacz przeszkadza nam oddychać pełną piersią. Mama z synkiem zostaje z tyłu i wpada w histerię. Płacze i szlocha, a my jesteśmy tak wściekli, że chętnie zostawilibyśmy ich na pastwę Niemców.

Chmury jak na złość rozstąpiły się wzdłuż całej grani i księżyc oświetlił uciekinierów. Przeklęta pogoda. Ostatkiem sił docieramy pod przełęcz. Jestem najsłabszym z przewodników i koledzy próbują mi pomóc, kierując na przód pochodu, za torującym drogę silnym żołnierzem. Staszek i Franek zostają w tyle i podciągając matkę z dzieckiem, usiłują dołączyć do kolumny. Wszystko na próżno. Kobieta traci energię na histerycznym szlochaniu. Dzieciak już ledwie dyszy. Zostają około osiemdziesięciu metrów za nami. Widzę jeszcze Franka w środku kolumny i Staszka za malcem. Teraz wyraźnie szczeka pies gończy. Zaraz wyskoczy zza garbu. Zostaję nieco w tyle, chcąc dopomóc Kopkowiczowi. Przez szum wiatru i śnieżycę, która znów rozpoczyna swoje wariacje, dobiega mnie jego głos:

— Jedź z grupą z przełęczy, ja sobie poradzę!

Nie mogę zostawić kolegi z mamą i chłopakiem. Ledwie żywy dochodzę do zbawczej grani i wtedy jakieś dwadzieścia metrów na prawo wybiega, prując piersiami śnieg, pies — owczarek.

Widzę Franka „Woksa", jak po kolei wypuszcza w dół uciekinierów, jednego po drugim. Spadają w Dolinę Cichą, niknąc w zasłonie śnieżycy. Każdemu coś mówi i każdemu udziela jakichś instrukcji.

Pies omija nas z daleka i ujada z cicha. Staszek krzyczy znów do mnie: — Jedź w dół! — Ja jednak nie mogę go opuścić i widzę jak szamoce się z kieszenią. Mama z synkiem docierają do grani. Nagle na lewo od nas ukazuje się sylwetka Tyrolczyka. Coś woła. Staszek wyciąga rękę i widzę, jak dwa ognie tryskają równocześnie i rozbrzmiewają w górskiej głuszy dwa strzały. Niemiec pada w zaspę. Zrozumiałem, że Kopkowicz posiada broń. Myślałem, że trafił, ale od strony pogranicznika rzygnęła struga ognia i kula z ćwierkotaniem przeleciała gdzieś w dolinę. Odepchnąłem się kijkami i ruszyłem w nieznaną dal. Strach i rozpacz zmusiły mnie do szaleńczego zjazdu. Narty cięły nieskazitelną biel śniegu. Płatki biły w oczy i wyrywały z nich łzy. Pędziłem coraz szybciej i szybciej, tnąc szpicami białą powłokę. I nagle cisza. To były sekundy, a zdawały się wiekiem. Leciałem w powietrzu. Kto z was zna tzw. podcięte skały, ten wie, jakie niespodzianki szykują dla narciarzy. Wbiłem się w śnieg szpicami nart. Konstatując, że żyję i jestem cały, próbowałem wydobyć wcięte w śnieżną masę szpice. Wtedy spadł koło mnie Franek Śnieżek. Jeszcze nie wygramolił się z puchu, gdy znów mignął mały cień i spada z półki niemiecki pies. Tak blisko mnie — o jakieś dwa metry. Franek jest dalej. Pies skręcił się i wyszczerzył kły. Widziałem to w białej nocy i desperackim skokiem rzuciłem się ku niemu z narciarskim kijkiem. Wryte w śnieg ciało psa nie mogło uskoczyć w porę. Runąłem na nie całym ciężarem, pchając mu szpic kija w żebra. Kij chrupnął i zagłębił się w żywym ciele niemal po kółko. Pies zawył rozpaczliwie, lecz wyrwał się, żłobiąc ku dolinie koryto w głębokim śniegu.

Wtedy niemal jednocześnie spadli z półki Staszek, a za nim Niemiec. Ten ostatni wbił się w zaspę tuż przy gramolącym się Franku. Upadł twarzą w śnieg, trzymając oburącz karabin. Widziałem, jak „Woks" pochylił się raptownie i uchwycił drzewo kolby. Wtedy Niemiec wbił zęby w rękę mego kolegi, a ten mimo bólu nie chciał wypuścić zdobyczy. Franek ryknął straszliwie. Staszek z wbitymi w śnieg nartami nie mógł stanąć na nogi. Jedną z desek zdołał rozpiąć, ale śnieg sięgający po pachwiny nie pozwolił mu przyjść z pomocą towarzyszowi. Odległość, na szczęście, nie była duża. Zobaczyłem, jak kolega, chwyciwszy kantowaną nartę, wali Niemca po karku i głowie. Sekundy mijały, a ja nie mogłem doczekać się, kiedy ten ostatni przestanie się szarpać o karabin z Frankiem. Nie wiedziałem, że życie ludzkie jest tak uparte. W duchu modliłem się, aby Niemiec stracił przytomność i puścił palec kolegi. Walenie nartą dało skutek. Szwab puścił broń i ostatni raz jęknąwszy, schował twarz w białym puchu. Chwilę czekaliśmy na następnego. Wkoło panowała cisza i tylko zawieja wzrastała na sile. Niemiec jęczał, ale nikt nie myślał go dobijać. Nie potrafiliśmy wydobyć słowa. Pies zniknął. Została po nim zakrwawiona bruzda, biegnąca ku Dolinie Cichej.

Parę kroków nieśliśmy odpięte narty, by jak najdalej odbiec od miejsca potyczki. Obawaliśmy się następnych szkopów. Po jakichś pięćdziesięciu metrach trawersowania zbocza nałożyliśmy narty, zacierając za sobą ślady. Kochana śnieżyca odgrodziła nas od pobojowiska. Biegliśmy bez wytchnienia jeszcze około kwadransa. Później zmęczenie wzięło górę. Byliśmy z siebie dumni, lecz tak wyczerpani, że nie mogliśmy się nawet cieszyć z dokonanego czynu. Noga za nogą wlekliśmy się w stronę Doliny Tomanowej. Nikt nie mówił ani słowa. Na to brak było siły. Na ramię Ciemniaka doszliśmy wyczerpani do ostatnich granic. Gdyby nawet gonił nas patrol graniczny jestem pewien, że żaden z nas nie przyspieszyłby tempa. Raczej się bronić, a nie iść prędzej. Raczej zginąć, a nie przyspieszać.

Wreszcie stanęliśmy na grani. Zawieja ucichła. W chmurach leżących pod nami ukazała się dziura. W dali, oświetlone księżycem, spało Zakopane. My trzej, chłopcy zagubieni w górskiej ciszy, przeżyliśmy swoją pierwszą wielką przygodę. Byliśmy sami, lecz każdy z nas pomyślał o swojej matce, która zapewne też spędziła bezsenną noc.

★

Wkrótce amatorzy-przewodnicy zostali nakryci przez okupanta. Ostatni uciekali przez granicę Stanisław Kopkowicz i Franek Śnieżek „Woks". Mnie nie zabrali, gdyż miałem 150 cm wzrostu, a do armii przyjmowano od 156 cm. Koledzy zostali schwytani na Słowacji i zginęli w Oświęcimiu.

Opowiadanie wyróżnione w konkursie tygodnika „Świat" pod hasłem „Opowiadania prawdziwe" i drukowane przez Wydawnictwo „Iskry" w ramach plonu konkursowego w połowie lat sześćdziesiątych.

Fot. STANISŁAW MOMOT

GABRIELA R. DANIELEWICZ (68)

Pamiętnik sądeczanki

8 stycznia 1891

W aptece p. Romana Jakubowskiego spotkałam p. Teresę Hostynkową, wdowę po nauczycielu. Do apteki poszłam po miksturę dla ciągle kwękającej Justynki. Doktor Kozubski zaordynował małej spożywanie jajek i picie koziego mleka, zapisał miksturę, nakazał dużo powietrza. Ale nie powiedział, co właściwie córce dolega, a ja, podenerwowana jak zawsze podczas wizyty u konsyliarza, o nic nie spytałam. Wobec tego Joachim zadecydował, żeby Justynka zażyła medykament do końca, a później on pójdzie z córką do doktora. P. Hostynkowa kupowała eter. Gdy się dowiedziała o przypadłości Justynki, poleciła mi niezawodny ponoć na choroby płucne proszek z eukaliptusa. Bo według niej kaszel, słabość i spocone ręce to dowód niedomagania płuc. Przeraziłam się nie na żarty. Czyżby suchoty? Widmo strasznej choroby obezwładniło mnie. Nauczycielowa zmitygowała się i zaczęła odwracać kota ogonem, lecz niepokój we mnie już zasiała. Powiedziałam o wszystkim mężowi i musiałam wyglądać strasznie, bo Joachim natychmiast wstał i poszedł do doktora Kozubskiego dowiedzieć się o stan córki. Oczekując na powrót męża, cały czas drżałam z obawy przed usłyszeniem okrutnej prawdy. Już w czarnych myślach widziałam Justynkę na marach. Tymczasem Joachim wrócił ucieszony, doktor uspokoił go, że to chwilowa słabość i córka wróci do zdrowia. Niezależnie od tego poprosiłam męża, aby wystarał się o proszek z eukaliptusa, który rzekomo krewną p. Hostynkowej wyleczył z ciężkiej niemocy. Jeśli Joachimowi nie uda się zdobyć tego proszku, napiszę w tej sprawie do Praksedy do Wiednia. Justynkę muszę wyleczyć.

Nazajurz

P. Onufry ciągle leży unieruchomiony. Joachim nie wróży swemu wspólnikowi wyzdrowienia. Widział kilka osób dotkniętych apopleksją i nigdy już nie wróciły do poprzedniego stanu. P. Onufrowa ma teraz sporo zajęcia przy chorym, musi go myć, karmić i zmieniać często prześcieradła, bo p. Onufry nie ma przecież czucia. Żal mi go bardzo. Dobry z niego był człowiek, dziadom dawał jałmużnę i takie spotkało go nieszczęście! I czy można mówić o sprawiedliwości na świecie?

10 stycznia

Jaochim przyniósł wiadomość o projekcie założenia muzeum w mieście. Zaczęłam szperać w komórce wsród rupieci, ale nie dostrzegłam nic godnego uwagi, co moglibyśmy przekazać. Ciekawe gdzie ulokują muzeum? Powinni w jakimś starym domu pamiętającym czasy średniowieczne, może w tym na rogu Lwowskiej i św. Ducha? Nieboszczyk ksiądz Machaczek mówił, że to zabytkowy dom.

Gdy Antoś przyjedzie, ucieszy się na pewno tym muzeum, on już przedtem przebąkiwał, że coś takiego powinni założyć w Sączu. Podobno stara się o to muzeum profesor Ludwik Małecki. Widziałam go niedawno u jezuitów na nabożeństwie, niezmiennie wzbudza moje uznanie i szacunek ten czcigodny człowiek.

Wczoraj Jaochim wrócił z miasta niezmiernie ożywiony. Nareszcie ukazywać się będzie pismo reprezentujące interesy szkół i nauczycieli. Oczywiście zorganizowanie nowego czasopisma złożono w ręce p. Kisielewskiego, który w całej Galicji jest znany ze swych wystąpień w obronie nauczycieli. Przewiduje się wydanie pierwszego numeru jeszcze w styczniu.

16 stycznia

Rok zaczął się silnymi mrozami, śnieg trzymał już od świąt i zanosiło się na ciężką zimę. Mało wychodziłam z domu, ostatnio kiepsko się czułam. Wczoraj Joachim przyniósł z miasta jakieś czasopismo niewielkiego formatu i rzucił na stół z wesołym okrzykiem: — Poczytaj! Pierwszy numer „Szkolnictwa Ludowego".

Z rozrzewnieniem obracałam gazetę w rękach. „Szkolnictwo Ludowe" — organ nauczycielstwa ludowego. Wychodzi 5 i 20 każdego miesiąca. Naczelny redaktor i wydawca — Henryk Kisielewski. Redakcja i administracja w Nowym Sączu przy ulicy św. Ducha. Gazeta kosztuje 25 centów.

W pierwszym numerze z 13 stycznia umieszczono długi artykuł pt. „Nasz program". Przeczytałam go dokładnie, bo chciałam porozmawiać z Antosiem na ten temat. Joachim mówi, że ukazanie się tego pisma nie jest na rękę władzom; ale to duży sukces nauczycielstwa, które nareszcie ma gazetę broniącą jego praw. Wyobrażam sobie, jak się ucieszy z tego Ludomir.

26 stycznia

W dalszym ciągu najważniejszą nowiną jest w mieście ukazanie się czasopisma nauczycielskiego. Podobno nasz wspaniały burmistrz, p. dr Karol Slavik, gratulował p. Kisielewskiemu sukcesu. Poczytność pisma jest tak duża, że muszą dodatkowo drukować pierwszy numer. P. Kisielewski jest oblegany jak nigdy dotąd, przyjeżdżają do niego nauczyciele spoza Sącza, nawet z odległych miast, przychodzą listy z całej Galicji i z ziem pod innymi zaborami. P. Kisielewskiemu pomaga w redagowaniu pisma żona i p. Józef Gutowski, również nauczyciel. P. Kisielewska to mądra niewiasta, aż przyjemnie popatrzeć na taką. Chciałabym, żeby któraś z moich córek poszła w jej ślady. Anielcia tak dobrze się zapowiadała i co z tego wyszło? Mój Boże, czemu taki ją spotkał los? To samo Zuzanna, nie mówiąc już o Dominice. Jakoś nie udało się moim dziewczynkom, niestety — nie udało. A marzyłam dla nich o pięknej, barwnej przyszłości.

1 lutego

Walek wrócił późno, dobrze po dziesiątej, kiedy już kładłam się do łóżka.Na moją uwagę nic nie powiedział, nawet nie spojrzał na kuchnię i wszedł do pokoju. A przecież zostawiłam mu pierożki z kapustą i kubek kawy, czemu nie wziął? Coś mi się nie podobają te ustawiczne wędrówki Walka po robocie. Muszę pomówić o tym z Joachimem.

10 lutego

Nie miałam sposobności do poważnej rozmowy z mężem, bo Joachim musiał zrobić zestawienie wydatków za towar dla Urzędu Skarbowego. Teraz wszystko na jego głowie. Siedzi do późnego wieczoru w sklepie, oblicza utarg, prowadzi różne rejestry, zamawia towary, a w domu po wieczerzy jeszcze ciągle liczy i wpisuje do ksiąg. Odkąd p. Onufrego sparaliżowało, mąż nie ma dosłownie wolnej chwili. Koniecznie muszą przyjąć fachową siłę, bo Joachim się wykończy. Jeśli p. Onufrowa tego nie załatwi, ja uczynię nareszcie porządek w sklepie. Ostrzegłam męża, żeby się nie dał wykorzystać. Choroba chorobą, bardzo p. Onufremu współczujemy, ale to nie oznacza, by zamęczyć biednego, poczciwego Joachima. Mąż już ledwo żyje, trzy miesiące ciągnie sam sklep, i nie zapowiada się na żadną zmianę. Wymusiłam na nim, gdy wychodził z domu, konkretne postawienie sprawy z p. Onufrową o przyjęcie subiekta.

(ciąg dalszy za tydzień)

Spływ

Ktokolwiek przepłynął czółnami flisackimi przez przełom Dunajca w Pieninach, zaliczy niewątpliwie spływ ten do najpiękniejszych swoich przeżyć turystycznych.
STANISŁAW SMÓLSKI

Pierwsze spływy na Dunajcu giną w pomroce dziejów. Musiało to jednak być dosyć dawno, gdyż mistrz Jakub Korab z Nowego Targu już w 1589 r. wymalował patrona flisaków na ścianie kościoła w Krościenku, a w XVIII-wiecznej ikonografii Czerwonego Klasztoru nie brak scen tematycznie związanych ze spływem.

Przekazy mówią, że początkowo spływanie miało charakter towarzyskich imprez dla mieszkańców Niedzicy i Czorsztyna. Tak np. około 1815 r. mieli spłynąć przez Przełom hrabiowie niedziccy wraz z grupą gości. W zorganizowanej formie, jaką nadał jej Józef Szalay (1802 — 1876) — twórca Uzdrowiska Szczawnica, impreza rozpoczęła się w końcu lat trzydziestych XIX w. Szalay urządzał barwne wycieczki łodziami przy dźwięku muzyki i huku wystrzałów z wiwatowych moździerzy.

W literaturze XIX w. pełno jest wspaniałych opisów ówczesnego spływu. Początkowe czółna to tzw. dłubanki, żłobione w klocach drewna topolowego i lipowego. Dwie takie łodzie, połączone ze sobą, tworzyły „dwojaki", w których mieściło się dwóch, trzech gości. Stopniowo „dwojaki" zastępowano „trojakami" z 4 — 5 gośćmi, a na przełomie XIX i XX wieku upowszechniły się „czworaki" dla 5 — 6 gości, oraz dwóch osób obsługi. W latach międzywojennych spływ był imprezą liczącą się w Europie. W 1935 r. frekwencja przekroczyła 10.000, a w 1938 — 20.000 gości.

Od początku XX wieku trwały starania o nadanie flisakom pienińskim statusu stowarzyszenia. W 1908 r. próbę taką podjął oddział Pienińskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a od 1929 kontynuowało ją Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, niestety — bez pozytywnego rezultatu. W 1934 r. sprawę przejął Pieniński Park Narodowy i z jego to inicjatywy w roku 1935 doszło do zawiązania Polskiego Stowarzyszenia Flisaków Pienińskich na rzece Dunajcu.

Dobrze zapowiadający się po I wojnie światowej rozwój ruchu turystycznego w Pieninach, w okresie okupacji hitlerowskiej całkowicie zamiera. Dopiero po wojnie spływ Dunajcem czółnami nabiera masowego charakteru. Z roku na rok wzrasta liczba obsługiwanych turystów. W 1953 r. zostaje pobity przedwojenny rekord — liczba przewożonych gośći przekroczyła 23 tysiące. W 1964 r. frekwencja zbliża się do 150 tysięcy, a w 1967 osiąga ponad 200 tysięcy osób. W roku 1987 Dunajcem spłynęło 230 tysięcy ludzi.

JOLANTA JAROCKA-BIENIEK

Piłka nożna

Fatalnie w III-ligowych rozgrywkach wystartowała „Sandecja". Na oczach poważnych (ponoć) i odpowiedzialnych działaczy sekcja piłkarska tego zasłużonego klubu stacza się na dno. Kibice w Sączu i okolicy bardziej interesują się meczami w „okręgówce", w której po reorganizacji występują wyłącznie drużyny z naszego województwa. W inauguracyjnej kolejce padły następujące wyniki: Witowice Dolne — Zawada 1 : 2, Świniarsko — Start 2 : 0, „Dunajec" — Helena 2 : 2 (brzydki faul i pyskówka w wykonaniu **Lacha** z „Dunajca" zakończyły się czerwoną kartką, brawa dla sędziego **Ryszarda Szubryta**), „Turbacz" Mszana Dolna — „Poroniec" 1 : 1, Wojnarowa — „Harnaś" Tymbark 3 : 3, „Limanovia" — „Kolejarz" Stróże 0 : 1, „Sandecja" II — „Glinik" 1 : 0 (z niezrozumiałych względów mecz odbył się na bocznym, pełnym wybojów i nierówności boisku). Pierwszym liderem została raczej niespodziewanie drużyna LZS ze Świniarska.

*

13 LZS uczestniczyło w turnieju o puchar naczelnika gminy Nowy Targ. W finale „Huragan" Waksmund pokonał „Przełęcz" Łopuszna 2 : 0. W zwycięskiej drużynie wystąpili: **Marek Gancarz, Antoni Pęksa, Marek Fuła, Franciszek Pęksa, Jan Kuńka, Zbigniew Ligęza, Andrzej Garbacz, Józef Mrończak, Ryszard Fuła, Andrzej Waksmundzki, Marek Waksmundzki, Zbigniew Węglarz, Stanisław Waksmundzki, Grzegorz Baraniak, Franciszek Garbacz.** Opiekunem jest **Kazimierz Hochorowski.**

*

Juniorzy „Limanovii" zajęli II miejsce w międzynarodowym turnieju w Dolnym Kubinie na Słowacji. Wygrali z gospodarzami 1 : 0 , Węgrami z Belapatfalva 4 : 0 i przegrali z Humemne (Słowacja) 2 : 4. **Andrzej Opioła** zdobywając 5 bramek został królem strzelców.-Kierowanie sekcją piłkarską „Limanovii" powierzono długoletniemu nauczycielowi liceum **Aleksandrowi Banasiowi** kierownikowi limanowskiego „Transbudu" — **Marianowi Włodarczykowi.**

*

Z gminnych eliminacji do finału X Wojewódzkiej Spartakiady Zrzeszenia LZS: w Czarnym Dunajcu „Czarni" wyprzedzili „Bory" Dział i „Górali" z Wróblówki; w Dębnie awans wywalczyła miejscowa drużyna LZS „Bór".

Spartakiada spółdzielców

W Nowym Targu odbyła się XIII Wojewódzka Spartakiada Sportowo-Rekreacyjna Pracowników Spółdzielczości Pracy. W klasyfikacji zespołowej najwięcej punktów uzbierała ekipa spółdzielni grybowskiej „Karpaty", wyprzedzając Wojewódzką Usługową Spółdzielnię Pracy w Limanowej i WZSP Nowy Sącz. Oto zwycięzcy w konkurecjach indywidualnych:

Kobiety: 60 m — **Ewa Jasica** (Limanowa), 500 m — **Zofia Gorlicka** (N. Targ), skok w dal — **Anna Smoleń** (Nowy Sącz), rzut do tarczy — **Józefa Soska** (Nowy Sącz), strzelanie z wiatrówki — **Renata Działek** (N. Targ), pchnięcie kulą — **Janina Krajewska** (N. Sącz).

Mężczyźni: 60 m — **Jacek Chronowski** (N. Sącz), 1000 m — **Krzysztof Bodziony** (N.Sącz), skok w dal — **Marek Oleksiewicz** (Grybów), pchnięcie kulą — **Andrzej Wolski** (N.Targ), rzut do tarczy — **Czesław Szulc** (N. Sącz), strzelanie z wiatrówki — **Stanisław Grzesiak** (Grybów), podnoszenie ciężarka 17,5 kg — **Kazimierz Dudek** (Limanowa). W przeciąganiu liny najlepiej spisali się reprezentanci ośrodka „Start" w Nowym Targu i spółdzielni „Zdrój" w Mszanie Dolnej.

Krótko

Nie dopisała pogoda podczas obchodów 35-lecia Ludowego Klubu Sportowego „Biegoniczanka". Deszcz jednak nie przeszkodził rozegraniu meczu, w którym jubilaci pokonali drużynę Nowosądeckiego Przedsiębiorstwa Ceramiki Budowlanej 3:1. „Ceramicy" wygrali wcześniej turniej międzyzakładowy, wyprzedzając m.in. ekipy WZGS, SZEW, STW, SZNS, Poręby Małej i Dąbrówki (najlepszym zawodnikiem turnieju uznano **Jerzego Niedźwiedzia** z STW, a najwięcej goli strzelił **Mirosław Rzeszuto** z WZGS). Podczas jubileuszowej uroczystości działaczom i sportowcom wręczono odznaczenia regionalne i sportowe.

● W podhalańskiej lidze siatkowej w grupie I prowadzą zawodnicy NZPS „Podhale", w grupie II — LZS „Murań" Jurgów.

● Z braku funduszów rozwiązano sekcję siatkówki żeńskiej w sądeckim „Dunajcu". O podobnych decyzjach głośno mówią w innych klubach...

Elektro GRAFIT

Co trzeba poprawić?

Jak co roku, wszystkie stanowiska robocze zostały skontrolowane w ramach społecznego przeglądu warunków pracy. Sprawdzano stan techniczny maszyn i urządzeń oraz pomieszczeń sanitarnych, ochronę zdrowia w miejscu pracy, szkolenie załogi, ilość wypadków. Prawie w każdym wydziale znaleziono niedociągnięcia. Drobniejsze usterki od razu zgłaszano kierownikom wydziałów, usunięcie poważniejszych ujęto w harmonogram z zaznaczonymi terminami wykonania tych prac.

Oto niektóre zadania zapisane w protokole pokontrolnym: przy modernizacji młynowni wyremontować także pomieszczenia socjalne dla dozoru; zakupić piły do cięcia bloków wypalonych; przyspieszyć budowę instalacji wentylacyjnej stanowisk do obróbki zielonej lub jej zaniechać; zaprojektować i wykonać instalację (przenośną lub stacjonarną) do rozpalania gazu w piecach kręgowych; wykonać kontenery z uszczelnieniami do przewozu materiałów sypkich; utwardzić przez wybetonowanie lub wyłożenie płytami teren za nasycalnią; wyremontować wszystkie drogi dojazdowe; rozważyć możliwość zastosowania siedzeń teleskopowych do wózków; zorganizować prawidłowe składowisko przy zasypkach; przekonstruować odciągi oparów na mokro z mieszanek; wyeliminować z transportu międzystanowiskowego wózki spalinowe; przeprowadzić remont pieca do spalania ługu łącznie z tacami; uzupełnić dławiki na czynnych urządzeniach elektrycznych w całym zakładzie; zaprojektować i wykonać urządzenie umożliwiające przeprowadzenie remontów mieszarek zgodnie z przepisami BHP; wybudować nową stację produkcji gazu dla kotłowni; zamontować kominki wentylacyjne na dachu kotłowni; zorganizować i zapewnić rozwożenie w prawidłowy sposób i przy zachowaniu odpowiednich warunków sanitarnych, posiłków regeneracyjnych i herbaty dla wszystkich wydziałów; przeprowadzić ponowne szkolenie dozoru i koordynatorów remontów w zakresie prowadzenia prac niebezpiecznych; doprowadzić do radykalnej poprawy systemu magazynowania materiałów ceramicznych w SZEW; wykonać instalację do workowania pyłów pofiltracyjnych w zasypkach.

Przegląd powtarza się co roku i — niestety — powtarzają się niektóre usterki. A przecież na bezpiecznej pracy powinno zależeć każdemu.

Nasze plany

W ubiegłym roku Rada Wojewódzka NOT ogłosiła konkurs o tytuł najaktywniejszego koła Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych w Nowosądeckiem w 1987 roku. Oficjalne rozstrzygnięcie i ogłoszenie wyników odbyło się podczas majowego posiedzenia rady. Nasze koło zdobyło po raz drugi pierwsze miejsce, uzyskując 65 tys. zł, nagrody rzeczowe dla czterech wyróżniających się aktywistów, dyplom i puchar przechodni Rady Wojewódzkiej NOT.

W konkursie wzięto od uwagę i oceniono niektóre dziedziny działalności kół: ilość członków, opłacanie składek, częstotliwość zebrań ogólnych i zarządu, popularyzację działalności koła, ilość zorganizowanych narad, konferencji, seminariów, wystaw, odczytów, konkursów. Jurorzy ocenili także działalność wynalazczą i patentową członków poszczególnych kół, ich udział w pracach różnych agend NOT poza zakładem oraz prowadzenie przez nich wykładów na kursach notowskich. Wzięto pod uwagę także ilość nagród uzyskiwanych na konkursach różnego szczebla propagujących problematykę techniczną, prowadzenie działalności specjalistycznej, np. w zakresie ochrony środowiska, opiekę nad młodą kadrą techniczną, organizowanie życia towarzyskiego itd.

Rada Wojewódzka NOT ogłosiła także konkurs o tytuł najaktywniejszego koła w tym roku. Przystąpiliśmy do współzawodnictwa, mimo że główny wysiłek musimy skierować na przygotowanie i przeprowadzenie IX Konferencji Grafitowej w Zakopanem. Nie chcemy jednak dopuścić do tego, żeby — zdobyty już dwukrotnie — puchar przechodni Rady Wojewódzkiej NOT opuścił nasz zakład.

WŁODZIMIERZ TARASEK — przewodniczący Zarządu Koła Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Hutniczego w SZEW

Więzi przyjaźni

W lipcu gościliśmy w naszym zakładzie członków zespołu artystycznego z jugosłowiańskich zakładów „Galenika", z którymi nawiązaliśmy współpracę. Przedsiębiorstwo to mieści się w Zemunie koło Belgradu. Powstało w 1946 roku jako niewielka — bo licząca zaledwie 29 pracowników firma o charakterze farmaceutyczno-chemicznym. Dzisiaj „Galenika" zatrudniają około 6500 pracowników, posiadają nowoczesne linie technologiczne do produkcji lekarstw oraz składają się z kilku samodzielnie działających w ramach zakładu wydziałów.

Obok produkcji lekarstw „Galenika" wytwarzają także paszę dla bydła, środki ochrony roślin, wyroby plastikowe itp. Przedsiębiorstwo dba również o rozwój sportu i kultury. Z chwilą powstania zakładu utworzono Towarzystwo Kulturalno-Artystyczne „Galenika". Obejmuje ono sekcje: folklorystyczną, muzyczną, literacką i plastyczną. Towarzystwo liczy około 200 członków. Są to przeważnie pracownicy zakładów oraz członkowie ich rodzin.

Program zespołu „Galenika", który gościł w Polsce po raz drugi, obejmuje ludowe pieśni i tańce z niemal wszystkich rejonów Jugosławii. Kierownikiem zespołu jest **Michailo Mijatowić**, a orkiestry — **Miodrag Stewanowić**. Zespół często odwiedza różne państwa europejskie, dając koncerty.

Dotychczas na zaproszenie zespołu „Galenika" wyjeżdżali do Jugosławii tylko członkowie naszej zakładowej „Doliny Dunajca", jesienią wyjedzie do Belgradu i Zemunu 45-osobowa grupa pracowników SZEW. Chętnych było co najmniej dwóch na jedno miejsce. Być może następna grupa wyjedzie w przyszłym roku. Oprócz zakładów „Galenika" fabryka współpracuje także z jugosłowiańskim „Ikarusem".

Kolumnę „Elektrografit", Sądeckich Zakładów Elektro-Węglowych, redaguje DANUTA BINEK

Pozostały tylko wspomnienia

— Najpierw zawieziono nas zakładowym autokarem do Lwowa, stamtąd polecieliśmy samolotem do Rostowa, a potem jechaliśmy jeszcze około 200 kilometrów do Sidowa — niewielkiej miejscowości nad morzem Azowskim. Wystarczyło jednak popatrzeć na piękną, prawie przezroczystą wodę, żeby zapomnieć o trudach podróży — wspomina **Irma Dziewałtowska,** jedna z 10 pracowników fabryki którzy spędzili urlop w ZSRR. — *Naszą grupą opiekowała się pełna niespożytej energii, świetna organizatorka* **Maria Chudy** *(zastępczyni głównego księgowego SZEW). Zakwaterowano nas w ośrodku Zakładów Metalurgicznych z Taganroga. Mieszkaliśmy w 2-osobowych pokojach. Wyżywienie było dobre, choć niektórym brakowało ziemniaków. Tam są bardzo drogie, podawano nam więc sporo mięsa z różnymi rodzajami kasz i makaronem. Na kolację często jedliśmy jeszcze ciepłe drożdżowe bułeczki. Niesłychanie sympatyczna obsługa, wszędzie czysto i estetycznie. Ale największymi atutami było słońce (temperatura w cieniu wynosiła 34 stopnie Celsjusza!), piękna plaża i morze, z którego żal było nawet na chwilę wychodzić. Temperatura wody wynosiła... od 24 do 29 stopni Celsjusza!*

W ośrodku byliśmy jedynymi Polakami. Nawiązaliśmy serdeczne więzi z Rosjanami. Wbrew obawom, nie było żadnej bariery językowej. Chodziliśmy z nimi do innych domów wczasowych, w którch były kawiarenki ze wspaniałymi sokami, kawą i ciastkami.

Zorganizowano nam wycieczki do Doniecka, Taganrogu, Rostowa i Nowoczerkaska. Chodziliśmy trochę po sklepach. Refleksja nasuwa mi się jedna: zaopatrzenie tamtejszych sklepów spożywczych jest znacznie gorsze niż naszych, natomiast można pozazdrościć Rosjanom wielości towarów przemysłowych: sprzętu gospodarstwa domowego, aparatów fotograficznych (do których bez problemów kupuje się filmy), wielkiego wyboru materiałów, zwłaszcza bawełnianych.

Ostatnie dwa dni spędziliśmy w prewentorium należącym do zakładów z Nowoczerkaska. Naszą zazdrość wzbudziło wspaniałe wyposażenie tego obiektu — był basen, natryski, sauna... Przebywający tam kuracjusze otoczeni są troskliwą opieką medyczną. Nawet nam — w trosce o zdrowie — serwowano przy śniadaniu witaminę „C". Co ważne? Każdy pracownik nowoczerkaskich zakładów, zagrożony jakimś schorzeniem, dowożony jest codziennie do prewentorium. Po zabiegach i gimnastyce rehabilitacyjnej oraz kolacji odwozi się go do domu. Żeby tak u nas...

Z pobytu w Związku Radzieckim wywiozłam wiele miłych wspomnień. Chciałabym tam jeszcze kiedyś pojechać.

Rok 1964 Fot. KAZIMIERZ KĄDZIOŁKA

Wypadek

Na wydziale przygotowywania surowców, w pobliżu pieca kalcynacyjngo spadł z drabiny — doznając poważnych obrażeń ciała — 50-letni pracownik wydziału energetycznego. Jaka był przyczyna wypadku? — spytałam kierownika działu BHP, **Antoniego Tomskiego.**

— *Nie potrafię jeszcze odpowiedzieć na to pytanie. Z tego co zdołałem dowiedzieć się od samego poszkodowanego wynika, że pracował przy zaworach regulujących przepływ wody chłodniczej. Z niewyjaśnionych przyczyn spadł z około 2-metrowej drabiny. Zdołał jeszcze o własnych siłach dojść do pobliskiej kotłowni. Okoliczności wypadku bada zespół w skład którego oprócz mnie wchodzą dyrektor* **Mirosław Lebiedziejewski,** *i Zakładowy Społeczny Inspektor Pracy —* **Kazimierz Maciaś.**

Z tego rodzaju wypadkiem mamy do czynienia po raz pierwszy. Doszliśmy do wniosku, że należy wykonać pomost, z którego w przyszłości będzie można bezpiecznie regulować zaworami dopływ wody chłodniczej.

SZEW jest zakładem pracy ciężkiej, nie możemy zupełnie wyeliminować niebezpieczeństwa wypadków. W ubiegłym roku odnotowaliśmy ich 35. Najwięcej było potłuczeń, do których dochodzi przy transporcie surowców oraz wyrobów. Spore zagrożenie panuje przy obsłudze pieców grafityzacyjnych i kręgowych. Panują tam bardzo wysokie temperatury, latem sięgają nawet 60 stopni Celsjusza. Zatrudnieni tam ludzie muszą być maksymalnie skupieni, gdyż nawet chwila nieuwagi może skończyć się dla nich tragicznie. Tutaj najczęściej dochodzi do wypadków przy manipulacji elektrodami.

Przed rokiem fabryka wypłaciła ponad milion złotych odszkodowania z tytułu odszkodowań i chorób zawodowych. Wśród tych ostanich najczęstsze są przypadki uszkodzenia narządu słuchu, przewlekłe nieżyty oskrzeli (rzadziej pylicy płuc), w ciągu minionych dwóch lat zarejestrowaliśmy także trzy przypadki choroby nowotworowej.

Jesteśmy w przededniu zawarcia umowy z Instytutem Medycyny Pracy w Sosnowcu, który podejmie się przebadania profilaktycznego naszych pracowników szczególnie narażonych na choroby zawodowe. Przewidujemy, że badania obejmą około 1300 osób.

Co mi najbardziej przeszkadza w pracy? Z pewnością fakt, że niczego nie można załatwić normalnie, nawet w błahych sprawach trzeba szukać dojść i znajomości. Ostatnio np. dzięki nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z fabryką kosmetyków i pokryciu części należności w dewizach, zakupiliśmy dla załogi 9 tysięcy tubek kremu ochronnego. Mieliśmy kłopoty z dostawą wody mineralnej, dopiero po dofinansowaniu przez SZEW zakładu produkcyjnego w Szczawie mamy jej pod dostatkiem. Nie możemy sobie jeszcze poradzić ze złym zaopatrzeniem naszych kiosków zakładowych. W SZEW ludzie — zwłaszcza zatrudnieni w produkcji — pracują bardzo ciężko. Chcą więc dobrze zjeść, a bułka z salcesonem ich nie satysfakcjonuje.

Głos Glinika

Komu i jaki zasiłek?

Opracowano regulamin wypłat statutowych świadczeń dla członków Związku Zawodowego Pracowników FMWiG „Glinik". Oto jego zasady:

Członek związku zawodowego ma prawo otrzymać zasiłki z tytułu urodzenia dziecka; zasiłki z tytułu zgonu członka związku; emerytalną odprawę związkową. Przysługują mu również inne świadczenia, których wysokość i formę ustala Walne Zebranie Delegatów.

Związkowiec ma prawo otrzymywać od swojej organizacji pomoc finansową w okresie czasowego pozostawania bez pracy oraz w uzasadnionych przypadkach losowych. Zakres i formy pomocy wnioskują i opiniują wydziałowe organizacje związkowe.

Zgodnie z powyższymi postanowieniami Statutu członek naszego związku otrzymuje:

★ 8000 zł w przypadku urodzenia dziecka (pod warunkiem, że posiada co najmniej rok nieprzerwanego stażu członkowskiego). Zasiłek przysługuje obojgu rodzicom, jeżeli należą do związku i posiadają wymagany staż członkowski. W razie urodzenia bliźniąt zasiłek wynosi po 8000 zł na każde dziecko, analogicznie w przypadku urodzenia większej ilości dzieci. Zasiłek przysługuje także w razie urodzenia martwego dziecka,

★ 20 000 zł związkowej odprawy emerytalnej. Wymaganym warunkiem jest 20-letni nieprzerwany staż związkowy,

★ 12 000 zł — członkowie związku przechodzący na emeryturę ze stażem członkowskim od 10 do 20 lat,

★ 8000 zł członkowie związku przechodzący na renty stałe z co najmniej 5-letnim stażem związkowym,

★ 6000 zł w razie zgonu członka rodziny (jeśli posiada się minimum 3 lata nieprzerwanego stażu członkowskiego). Za członków rodziny należy uważać współmałżonka, dzieci oraz rodziców i teściów,

★ 16 000 zł w przypadku zgonu członka naszego związku posiadającego co najmniej 5-letni nieprzerwany staż członkowski oraz 8 000 zł dla osób mających od roku do 5 lat stażu związkowego. Prawo do tego świadczenia przysługuje rodzinie zmarłego lub innej osobie spokrewnionej lub obcej, która udokumentuje pokrycie kosztów pogrzebu,

Świadczenia dla rodzin po członku naszego związku zmarłym tragicznie wskutek wypadku przy pracy oraz po drodze do niej obejmują:

★ jednorazową zapomogą w wysokości 20 000 zł dla jednej pełnoletniej osoby z rodziny, która pokrywała koszty pogrzebu lub zajmowała się jego organizacją i potrafi to udokumentować,

★ pełny, finansowy wkład członkowski na spółdzielcze mieszkanie lokatorskie typu M-3 w wysokości, jaka będzie obowiązywać w roku ukończenia przez dziecko-półsierotę (własne, pasierba, sierotę, przysposobione) 18 lat życia, a w dniu zgonu członka związku nie osiągnęło pełnoletności i było na jego utrzymaniu,

★ wkład mieszkaniowy oraz 35 000 zł na zagospodarowanie dla sierot do lat 18, gdy oboje rodzice (lub opiekunowie) nie żyją, będących na utrzymaniu członka Związku Zawodowego Pracowników FMWiG „Glinik" przed jego śmiercią. Warunkiem jest rok stażu związkowego tragicznie zmarłego związkowca.

Członek związku ma prawo otrzymywać również inne świadczenia w następujących okolicznościach, formie i wielkości:

★ dopłatę do skierowania sanatoryjnego w wysokości 1600 zł. wymagany staż związkowy 2 lata,

★ dopłatę do skierowania na pobyt profilaktyczny w wysokości 2000 zł, wymagany staż jak wyżej,

★ świadczenie związkowe na pokrycie kosztów związanych z odwiedzeniem chorego członka związku wypłacane w formie pieniężnej lub w postaci „paczki" o wartości 2500 zł, w przypadku choroby trwającej dłużej niż 9 dni. Świadczenie to można otrzymać dwa razy do roku, wymagany staż związkowy pół roku.

★ zasiłki bezzwrotne wypłacane na wniosek organizacji wydziałowych. Podstawą do ich udzielenia mogą być np. trudne warunki finansowe, długotrwała choroba, leczenie związane z częstymi wyjazdami na konsultacje itp. Wysokość zasiłku waha się od 2000 zł do 6000 zł, wymagany staż związkowy wynosi rok.

★ jednorazowa, bezzwrotna pomoc finansowa w udokumentowanym przypadku losowym (np. pożar lub powódź) i związanej z tym utraty mieszkania, dobytku itp. Wysokość jednorazowej pomocy może wynosić maksymalnie 20 000 zł, wymagany roczny staż związkowy.

Członek związku ma prawo do otrzymywania związkowej pomocy finansowej w przypadkach:

★ Czasowego pozostawania bez pracy. Pomoc związkowa trwa wtedy maksymalnie trzy miesiące i jest równa połowie średniego miesięcznego wynagrodzenia (liczonego brutto), otrzymywanego przez danego członka przez ostatni kwartał przed rozwiązaniem umowy o pracę. Z prawa do otrzymywania zasiłku dla bezrobotnych wyłączeni są ci, którzy wypowiedzieli fabryce stosunek pracy, bądź ją porzucili; osoby, którym fabryka wypowiedziała pracę, bądź rozwiązała umowę o pracę bez wypowiedzenia z winy pracownika (decyzja ta musi być zaakceptowana przez związek). Zasiłek przyznawany jest przez Prezydium Zarządu Związku w trybie określonym przez „Postanowienia losowe regulaminu". Podstawą do ubiegania się o niego jest wiarygodne udokumentowanie faktu poszukiwania pracy lub trwające postępowanie na drodze sądowej przeciwko fabryce o przywrócenie stosunku pracy. Wymagany staż związkowy wynosi 3 lata.

Uczestniczenie w akcji strajkowej prowadzonej przez Związek. Formę, wysokość i tryb wypłacenia świadczeń związanych z akcją strajkową ustala każdorazowo Walne Zebranie Delegatów (nadzwyczajne), które podejmuje uchwałę o przystąpieniu związku do akcji strajkowej, biorąc pod uwagę zakres, czas trwania strajku oraz możliwości finansowe związku. **Wraz z rozwojem liczebnym związku oraz umocnieniem się finansowym** (np. poprzez działalność gospodarczą) **rozważona zostanie możliwość zwiększenia wysokości świadczeń oraz wprowadzenia nowym form pomocy związkowej.**

Wszelkie formy pomocy dla związkowców mogą być przyznawane wyłącznie w zgodzie z trybem, formą i wysokością ustaloną i zapisaną w Statucie oraz uchwałach Walnego Zebrania Delegatów.

Udzielanie pomocy finansowej odbywa się według zasad wyszczególnionych w powyższym regulaminie.

Formy i zakres pomocy finansowej wnioskują organizacje wydziałowe. Decyzję o przyznaniu świadczeń podejmuje Prezydium Zarządu Związku kolegialnie poprzez głosowanie, w którym musi uczestniczyć co najmniej połowa członków Prezydium. Uchwała musi uzyskać większość głosów.

Wszystkie wymienione świadczenia wypłacane są z funduszy związkowych i przysługują wyłącznie jego członkom lub rodzinom związkowca. Powyższe świadczenia nie są związane ze świadczeniami pochodzącymi z funduszu socjalnego oraz ZUS lub PZU.

Zmiany w postanowieniach powyższego regulaminu może wprowadzić wyłącznie **Walne Zebranie Delegatów.**

Wata w uszach

Hałas stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia człowieka. Niestety, często pozostajemy głusi na ostrzeżenia lekarzy. Często też bezradni, bo w wielu przypadkach obniżenie hałasu choćby o jeden decybel kosztuje setki tysięcy złotych.

Hałas powoduje szereg zaburzeń psychosomatycznych, gwałtowne rozprzestrzenianie się chorób krążenia i układu pokarmowego, dysfunkcję gruczołów o wydzielaniu dokrewnym. Hałas wywołuje stresy, napięcia nerwowe, organizm jest nieustannie pobudzony, rozdrażniony, człowiek łatwiej zapada na nadciśnienie tętnicze. **Przyjmuje się, że dla dobra zdrowia poziom hałasu nie powinien przekraczać 50-55 decybeli.** Człowiek jest w stanie znieść natężenie dochodzące do 65 decybeli.

Polskie normy są tolerancyjne. W zakładach pracy do końca bieżącego roku urządzenia mogą emitować do 90 decybeli, w przyszłym roku — nie będzie mogło być więcej niż 85 decybeli. Jest to i tak liberalne w porównaniu z krajami Europy Zachodniej.

W „Gliniku" najgłośniej jest w Kuźni. Bębenki uszu są tu stale atakowane przez huk ciężkich młotów. Specjalista do spraw pomiarów ochrony akustycznej z działu ochrony środowiska **Piotr Rewiś** z pomocą precyzyjnego miernika ciśnienia akustycznego i mikrofonu firmy Bruel Kjaer dokonał pomiaru hałasu w Kuźni między godziną 9 a 12. Przy 33 stanowiskach stwierdził przekroczenie dopuszczalnych norm, a więc ponad 90, a nawet 100 decybeli.

— *Staramy się uświadomić pracownikom, z jakim zagrożeniem mamy do czynienia* — mówi dyr. **Stanisław Pisz.** *Całkowite zwalczenie hałasu i wibracji będzie możliwe dopiero po zastąpieniu młotów hydrauliczną prasą, tymczasem szukamy więc rozwiązań doraźnych. Pracownicy służb bhp wraz z doktor Kosibową — zakładowym laryngologiem udali się do Kuźni w Skoczowie, aby podpatrzyć, jak tam radzą sobie z hałasem. A radzą sobie dobrze, sporo ich doświadczeń już wykorzystaliśmy.*

Głównym problemem jest brak przemysłu, który produkowałby „drobiazgi" chroniące uszy. Brakuje np. wysokiej klasy wkładek do uszu (krajowe obniżają hałas o 10 decybeli, zagraniczne — o 20).

— *Oferujemy naszym pracownikom to, co aktualnie jest dostępne: waty czeskie i szwedzkie, nauszniki z kaskiem, ochronniki „Blisom"* — stwierdza szef służby bhp, **Stanisław Muzyka**. — *Wprowadziliśmy obowiązkowe badania laryngologiczne, inspektorzy pracy ostrzegają pracowników, aby nie lekceważyli sobie własnego zdrowia i na każdym kroku chronili uszy.*

Dyr. Pisz dużą wagę przywiązuje do stosowania płyt dźwiękochłonnych, które — zawieszone przy suficie — zmniejszają hałas aż o 5 decybeli. Sęk w tym, że rynek materiałów dźwiękochłonnych i izolacyjnych jest w kraju bardzo marny. Nie mogą jakoś znaleźć producentów projekty okien próżniowych i trójszybowych, które są doskonałymi izolatorami ciepła i wyśmienitym pochłaniaczem dźwięków.

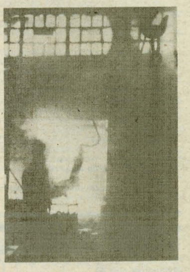

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

— *W „Gliniku" na zdrowie nie może zabraknąć pieniędzy* — zapewnia dyr. Pisz — *ostatnio zapłaciliśmy wsad dewizowy, aby tylko kupić od krajowego producenta niezbędne środki ochronne. Hałas jest bardzo szkodliwy, choć są jeszcze ludzie, którzy nadal nie są o tym do końca przekonani.*

Zdaniem przewodniczącego związków zawodowych, **Tadeusza Kosturskiego**, wiele chorób zawodowych spowodowanych jest stosowaniem przestarzałych urządzeń, złym projektowaniem hal fabrycznych i maszyn (a na Zachód nie da się wyeksportować głośnych obrabiarek!). Gdy hale już stoją, a maszyny są zaprojektowane, to walka z hałasem jest bardzo utrudniona i nie zawsze przynosi pożądane efekty. Operacje zmniejszania hałasu są niezwykle kosztowne i często niemożliwe, bo np. dany typ „cichych" maszyn jest praktycznie nie do kupienia.

Pozostaje minimalizować huki i świsty gdzie się da. Związek zawodowy popiera postulaty pracowników zatrudnionych w warunkach uciążliwych (hałas, zapylenie) o przyznanie dodatkowych 6 dni urlopu. Dowiedziałem się, że dyr. Pisz również jest za tym.

Kontrakt z Duńczykami

— *Wyroby „Glinika" dotarły do wielu krajów na świecie, ale nigdy dotąd nie udało się nam zawrzeć umowy z Duńczykami* — mówi kierownik działu eksportu, inż. **Roman Sroka.** — *Kontakt z nimi „złapaliśmy" poprzez wysłanników katowickiej Centrali Handlu Zagranicznego „CENTROZAP".*

11 sierpnia przyjechało do „Glinika" dwóch przedstawicieli duńskiej firmy Borgen Ingenior z miejscowości Slangerup. Panowie Edelvang i Serve zapoznali się z procesem technologicznym w Kuźni i Matrycowni, przestudiowali dokumentację techniczną. Wyposażeni w odpowiednie pełnomocnictwa, bez zbędnej biurokracji, podpisali zamówienia na dostawę do Danii 2600 bijaków do elektrofiltrów.

Duńczykom podczas pobytu w Fabryce towarzyszył inż. **Bronisław Barański:**

— *Wartość kontraktu — 36,4 tys. dolarów nie jest może najwyższa, zamówienie ma charakter pilotażowy. Najważniejsze, że otwiera się przed nami nowy rynek zbytu w II obszarze płatniczym. W zasięgu ręki są więc „żywe" dewizy, potrzebne zakładowi i państwu. Satysfakcję sprawia to, że nie eksportujemy już tylko surowców i prostych elementów, ale — tak jak do Danii — odkuwki o wysokim już stopniu przetworzenia.*

Duńczycy opuszczając Kuźnię powiedzieli, że poziom techniczny i wyposażenie tej części „Glinika" nie odbiega od europejskiego standardu. Chcą u nas zamówić sporą partię segmentów filtrowych, należy więc się spodziewać, że nawiązana współpraca nie skończy się jedynie na dwóch, trzech kontraktach.

W Fabryce wzdychają jedynie, że w dyspozycji „Glinika" — w myśl obowiązujących przepisów — pozostanie zaledwie 12 proc. pozyskanych za bijaki dewiz. Coraz powszechniejsze są opinie, że dla dobra reformy należy podnieść wysokość odpisu dewizowego z 12 do 30, a nawet 50 proc.

Kolumnę „Głos Glinika" redaguje JERZY LEŚNIAK

Twarzą ku Mekce

W niedzielę, inaczej niż sąsiedzi, wstają skoro świt. Ruszają w pole. Za to w piątek świętują. W czterech ścianach domostw rozkładają dywaniki, klękają z twarzą zwróconą ku odległej Mekce, wypowiadają melodyjne, niezrozumiałe arabskie wersety ku czci Allacha. Polscy Tatarzy.

Mieszkają na wschodnich rubieżach kraju od ponad pięciu wieków. Pierwszych uchodźców ze Złotej Ordy osadził książę Witold. Jego śladem poszli królowie polscy — zyskując Rzeczypospolitej obrońców, obdarzali ich ziemią i przywilejami obywatelskimi.

W 1679 roku, po buncie nieopłacanych chorągwi lipkowskich, Jan III Sobieski, jako rekompensatę za zaległy żołd, nadał rotmistrzowi Romanowskiemu i jego oficerom wieś Studziankę. Kilka lat później pułkownikowi Samuelowi Murzy Krzeczowskiemu przypadły Kruszyniany, a innym tatarskim rycerzom Bohoniki i Drahle.

Szybko zrośli się z nową ojczyzną i zgodnie z treścią trzeciej sury Koranu nieraz jeszcze stawali w jego obronie. Legia Tatarska walczyła w oddziałach Napoleona, tatarscy oficerowie byli bohaterami narodowych powstań, w 1919 roku pułk jazdy tatarskiej wzmocnił powstające Wojsko Polskie, a w 1939 pod buńczukiem ruszyli przeciwko niemieckim czołgom.

Pytani o narodowość — bez wahania odpowiadają „Polak". Od mieszkających za miedzą sąsiadów różni ich tylko wiara: silna, głęboka, wymagająca dyscypliny i poświęceń.

Niełatwo być muzułmaninem z dala od źródeł. Meczety w Kruszynianach i Bohonikach coraz rzadziej wypełniają się wiernymi. Umierają ostatni immamowie. Ten z Kruszynian, Aleksander Bajraszewski, ostatnie swoje nabożeństwo odprawił dwanaście lat temu. Następcy nie ma. Z dawnej licznej gminy została zaledwie garść wiernych. Reszta rozjechała się po kraju w poszukiwaniu lepszego losu. Nie ma kto orać nieużytków. Zapadają się dachy porzuconych domów.

W codziennej modlitwie pozostają sam na sam z pieczołowicie przechowywanymi świętymi księgami, z których... nie rozumieją ani słowa. Większość polskich muzułmanów nie zna arabskiego. Wystarczyć musi niezłomna wiara, że „nie ma Boga nad Allacha...", głębokie przekonanie o słuszności bożych przykazań.

A jednak Allach musi być pobłażliwy dla swoich polskich wyznawców. Tak trudno bowiem uczynić zadość surowym nakazom muzułmańskiej religii! Jakże nie jeść i nie pić podczas ramadanowych dni, jeśli wypełnione są one ciężką pracą? Jakże modlić się w świąteczny piątek, gdy pracuje się w państwowej instytucji, która nie uznaje religijnych odmienności? Jakże dbać o „czystość" krwi, jeśli coraz trudniej o muzułmanina na męża?

— *Co zostało? Człowiek po bożemu żyje. Religia mówi, że wrednym nie można być* — tłumaczy Mirosław Chalecki, sołtys kruszyniański.

Swoje piękne imiona: Miedżyt, Halima, Ali przerabiają na polskie: Mieczysław, Halina, Aleksander. Po co wstyd u ludzi i kłopoty w urzędach? Dawne zwyczaje i obrzędy też powoli popadają w zapomnienie. Stare cmentarze — mizary — porastają chwastami, a w ich nowej części pojawiają się groby standardowe — pomniki z lastrika, metalowe barierki, choć przecież księgi uczą, że po śmierci wszyscy ludzie są równi, nikomu więc nie wolno odgradzać się od pozostałych.

Coraz więcej zapomnianych mogił na mizarze. Ścieżki wśród chwastów wydeptują głównie turyści, którzy nie zawsze potrafią uszanować odmienność muzułmańskiej kultury. Szlak Tatarski, otwarty w końcu lat siedemdziesiątych staraniem działaczy Sokólskiego Ośrodka Kultury, prócz miłośników Orientu i naukowców przyciągnął także łowców sensacji. Cierpliwość skromnych ludzi, żyjących dotychczas spokojnie i nieświadomych wręcz swojej odrębności, została mocno nadwerężona. Zdarzył się nawet przypadek, że z Poznania przybyło zamówienie na ...tatarską rodzinę, którą zamierzano tam umieścić w specjalnie zaaranżowanym skansenie.

Mimo to każdego, kto zapuka do drzwi, polscy muślimi traktują w myśl przykazania, że jeśli ktoś szuka prawdy, nie wolno mu jej odmawiać. Tak czyni Aleksander Popławski, sprawujący pieczę nad meczetem w Kruszynianach, tak postępuje Zofia Bohdanowicz, strzegąca kluczy do świątyni w Bohonikach.

Dzięki nim i garstce podobnie zaangażowanych muzułmanów tradycja tatarskiej mniejszości w Polsce przetrwała. A nawet w ostatnim czasie przeżywa renesans.

W ośrodku gdańskim wydawany jest miesięcznik „Życie Muzułmańskie", tam też powstał trzeci w Polsce nowy meczet. W Sokółce od lat organizowane są seminaria „Orient Sokólski — prawda i legenda", a w tamtejszym muzeum urządzono wystawę tatarskiej kultury materialnej. Gdzieniegdzie prowadzi się naukę języka arabskiego — jest więc szansa, że dzieci odszyfrują tajemnice rodzinnych świętych ksiąg. Może w kruszyniańskim meczecie znów pojawi się immam?

Tymczasem do Kruszynian przyjeżdża duchowny z Białegostoku. Kilka razy w roku, na wielkie święta — bajramy. Wtedy w świątyni gromadzą się tłumy. W rodzinne strony ściągają na ten dzień wszyscy rozproszeni muzułmanie.

Ostatnio w meczecie bohonickim odbył się ślub tatarski Elżbiety Sulkiewicz, przewodniczcej Koła Młodzieży Muzułmańskiej, i Aleksandra Bogdanowicza. Było wykupywanie panny młodej i obrzęd zaharemiania. Wkrótce młoda para wybiera się na tatarski cmentarz w Studziance. Postanowili pokonać tamtejsze chwasty.

JACEK SZMIDT

PRZETARGI

Nowosądecka Fabryka Urządzeń Górniczych „Nowomag" w Nowym Sączu, ul. Wyspiańskiego 28
ogłasza, że w drodze przetargu nieograniczonego sprzeda

— **samochód dostawczy ŻUK A11B** (po wypadku), nr rej. NSA-251F, rok produkcji 1982, nr siln. 470728, nr podw. 369149, cena wywoławcza 290.000 zł.
— **silnik gaźnikowy od samochodu Polonez 1500**, nr fabr. 0128978, przebieg 150 000 km, cena wywoł. 150 000 zł.
— **silnik wysokoprężny od samochodu Aro-244D**, nr fabr. 08085, przebieg 60 000 km, cena wywoławcza 300 000 zł.

Przetarg odbędzie się 12 września 1988 r. o godz. 11.00 w świetlicy Fabryki.
Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10% ceny wywoławczej do kasy p-stwa.
Informacji na temat pojazdu oraz silników udziela Dział Głównego Mechanika codziennie, w godz. 8.00 — 10.00, tel. 230-69, wewn. 226.
W razie nie dojścia do skutku pierwszego przetargu, przetarg drugi odbędzie się bezpośrednio po pierwszym przetargu.
Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez obowiązku podania przyczyn.

K-8591

„Naczelnik Gminy w Ochotnicy Dolnej

informuje,
że w dniach 06. — 29.09.1988 r. w budynku Urzędu Gminy (sala obrad) **będzie wyłożona do wglądu publicznego koncepcja miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego gminy.**

Zaindteresowane strony, instytucje, organizacje mogą zapoznać się z koncepcją planu w godz. 9.00 — 13.00 i złożyć wnioski, uwagi, opinie".

K-8592

KOMUNIKAT
NACZELNIKA GMINY PODEGRODZIE

Naczelnik Gminy Podegrodzie woj. nowosądeckie zawiadamia, że zgodnie z art. 29 pkt. 1 i 2 ustawy z dnia 19 lipca 1984 r. o planowaniu przestrzennym (Dz. U. nr 35, poz. 185) projekt planu zagospodarowania przestrzennego gminy Podegrodzie będzie wyłożony do wglądu publicznego w siedzibie Urzędu Gminy w Podegrodziu pokój nr 17 w dniach od 25 sierpnia do 17 września 1988 r. w godz. 10.00 — 14.00. Zainteresowane jednostki organizacyjne, organy i osoby fizyczne mogą zgłaszć w tym terminie swoje uwagi i wnioski do wyłożonego projektu planu.

K-8356

OBWIESZCZENIA

Prawomocnym orzeczeniem Kolegium ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Limanowej, nr rej. SA. II-612/921/87 z dn. 20.IV 1988 r. — Ob. **Józef Kowalczyk,** syn Jana, ur. 22.VIII 1943 r. zam. w Lubomierzu 160, obwiniony o to, że w dniu 3 sierpnia 1987 r. w restauracji „Turbacz" w Lubomierzu rejonu rabczańskiego będąc w stanie po spożyciu alkoholu wszczął awanturę z Czesławem Babuszką oraz używał głosem podniesionym słów nieprzyzwoitych w obecności około 10 osób, czynem swoim zakłócił spokój i porządek publiczny. W tym samym miejscu i w czasie awantury dokonał uszkodzenia ścianki działowej i uszkodzenia — rozbicia kufli i popielniczek wartości 3.900 zł na szkodę GS Mszana Dolna — został uznany winnym wykroczenia opisanego jak wyżej, co stanowi wykroczenie z art. 51§2 kodeksu wykroczeń z dn. 20.V 1971 r. (Dz. U. nr 12 poz. 114) z późniejszymi zmianami i na podstawie art. 51§2 kw jw. w związku z art. 25§1 z art. 37 kw. jw — wymierzono mu karę zasadniczą grzywny w wysokości 31.000 zł z zamianą w razie nieośiągalności na 31 dni aresztu zastępczego licząc jeden dzień aresztu równy grzywnie 1.000 zł , podanie orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku Dunajec na koszt obwinionego, koszty postępowania w wysokości 1.000 zł, koszty w wysokości 3.900 zł na rzecz Gs Mszana Dolna

K-8109

KIEROWCQ PRZYJDŹ DO NAS!

WPK KATOWICE
Zakład Komunikacyjny nr 6 w Jaworznie
oferuje
DLA KIEROWCÓW AUTOBUSÓW

☆ — wysokie wynagrodzenie wg nowych (1988 rok) atrakcyjnych stawek osobistego zaszeregowania,
☆ — deputat węglowy w ekwiwalencie pieniężnym po cenach rynkowych,
☆ — nagrody jubileuszowe za 10, 15, 20 itd. co 5 lat,
☆ — bilet wolnej jazdy — również dla członków rodziny,
☆ — do 1 roku możliwość uzyskania samodzielnego mieszkania,
☆ — możliwość wyjazdu do pracy na kontrakt zagraniczny.

Zakład przeszkoli bezpłatnie kierowców posiadających kat. „C". Osoby bez żadnego prawa jazdy mogą zdobyć uprawnienia do prowadzenia autobusów tzw. „DM".

ZGŁOŚ SIĘ: Dział Spraw Osobowych WPK ZK-6
32-510 Jaworzno, ul. Krakowska 9

Samex

Bytom, ul.1 Maja 16 tel. 81-75-06 tlx 33610
przyjmie na bardzo korzystnych warunkach

DO SPRZEDAŻY:

- **telewizory Secam-Pal**
- **magnetowidy, odtwarzacze VHS**
- **zestawy sprzętu STEREO**
- **taśmy VHS, magnetofonowe**
- **kamery video, kalkulatory**
- **sprzęt kreślarski firmy ROTRING**

OGŁOSZENIA DROBNE

OFERTY matrymonialne krajów europejskich wysyła Biuro „Mazury", Olsztyn, skrytka 336

SOSNOWIEC! Spółdzielcze M-5, 73 m², II piętro, telefon, garaż — zamienię na równorzędne lub większe, spółdzielcze lub kwaterunkowe w Nowosądeckim. Sosnowiec, tel. 69-56-72.

D-39059

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka, (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (z-ca sekretarza redakcji), Michał Sroka (redaktor techniczny), Anna Szopińska. Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, al. Wolności 49, Telefony: 238-36, 238-90, Teleks: 0322748. Oddział w Krakowie, ul. Wielopole 1, pok. 502, telefon: 22-75-88 wewn. 161, teleks: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2 Kraków, telefon 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch", na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.
Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.
M-9

PIĄTEK — 26 VIII

PROGRAM I

8.50 Domator
9.00 Teleferie z kukułką
9.30 Kino teleferii: „Syn strzelca" (7)
10.00 DT-wiadomości
10.10 DT-reforma gospodarcza
10.25 „Porcelana w składzie słonia" — film fab. prod. pol.
11.10 Domator
16.15 Program dnia
16.20 Intersygnał
16.50 Mieszkać — wszechnica budowalana
17.15 Teleexpress
17.30 W starym kinie: „Jaśnie pan szofer"
18.20 Klinika zwierząt — program rozr.
18.50 Dobranoc
19.00 Monitor rządowy
19.30 Dziennik
20.00 „Liliowa taksówka" — film fab. prod. francuskiej
21.55 Żniwa' 88
22.10 Czas — magazyn publ.
22.45 DT-komentarze
23.05 Od Picadora do Zalefzczyk

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Polak w przyrodzie — reportaż
19.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
19.30 Dookoła świata
20.00 Studio sport
20.50 Brawo dla Marii Fołtyn
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio sport
21.55 „Czarna owca" — film fab. prod. ang.
23.45 Wieczorne wiadomości
23.50 Studio sport
0.05 Telewizja nocą

SOBOTA — 27 VIII

PROGRAM I

8.10 Tydzień na działce
8.40 Piłkarska kadra czeka
8.55 Program dnia
9.00 Kino najmłodszych: „Jaś i diabełek"
10.30 DT-wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Zdrowie
11.55 Wędrówki dalekie i bliskie
12.35 W świecie ciszy
13.00 Telewizyjny koncert życzeń
13.30 Antologia dramatu powszechnego: William Szekspir „Hamlet"
16.35 Skarbiec
17.15 Teleexpress
17.30 „Pod jednym dachem" (9)
18.30 Butik
19.00 Dobranoc
19.10 Z kamerą wśród zwierząt
19.30 Dziennik
20.00 „Miłość poza prawem" — film fab. prod. USA
21.30 Telewizyjny przegląd sportowy
22.15 Tydzień w polityce
22.25 Rock — scena — Zsuzsa Koncz
23.05 DT-wiadomości
23.15 Anegdoty teatralne Igora Śmiałowskiego
23.30 Kino nocne: „Inspektor Bellamy" (9)
0.05 Zakończenie programu

PROGRAM II

11.55 Trzy godziny z Telewizją Katowice
14.55 Program dnia
15.00 Telewizyjny koncert życzeń
15.30 „Akcja O.P.E.N." — serial
16.30 Komedia po polsku — „Wojna coraz dalej"
17.20 Spektrum
17.50 Polska kronika filmowa
18.00 Kronika
18.30 Ballada o drodze
19.30 Alfa i omega
20.00 „Wratislavia Cantans' 87"
21.00 Telewizja dla wszyskich
21.30 Panorama dnia
21.45 Lata dwudzieste, lata trzydzieste — „Pamiętnik pani Hanki"
23.30 Wieczorne wiadomości

NIEDZIELA — 28 VIII

PROGRAM I

7.05 Program dnia
7.10 Po gospodarsku
7.40 Tydzień
8.50 Kino teleferii: „Wyspa skarbów" (2)
9.55 Studio sport
10.30 DT-wiadomości
10.35 „W królestwie owadów" (5)
11.05 Siedem anten
11.35 Kraj za miastem
12.15 Studio sport
12.30 Wygraj szansę (1)
12.50 Telewizyjny koncert życzeń
13.40 Wygraj szansę (2)
14.00 Studio sport
14.15 Wygraj szansę (3)
14.50 „W kamiennym kręgu" (16 i 17) — serial
16.50 Studio sport
17.30 Teleexpress
17.45 Gdzie są taśmy z tamtych lat
18.15 Marek Sierocki zaprasza
18.30 Antena
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Komediantka" (4) — serial TP
20.55 Sportowa niedziela
21.55 Siedem dni na świecie
21.45 Jazz Chorał w Warszawie
22.25 DT-wiadomości
22.35 „W kamiennym kręgu" (16 i 17) — powtórzenie serialu
0.30 Zakończenie programu

PROGRAM II

9.30 Przegląd tygodnia dla niesłyszących
10.05 Film dla niesłyszących: „Komediantka" (4) serial TP
11.00 Krótkofalowcy
11.30 Lokalny koncert życzeń
11.55 Jutro poniedziałek
12.15 Program dnia
12.20 Sztuka ogrodowa w Polsce (7)
12.50 100 pytań do Żygmunta Broniarka
13.20 Bliżej świata
14.50 Zwierzęta świata
15.40 Studio sport
16.15 Grand Prix Belgii — Formuła I
16.25 Notatnik festiwalowy dni Henryka Wieniawskiego
17.00 Galeria „Dwójki"
17.30 Studio sport
18.00 50-tka pana Janka
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Grand Prix Belgii — Formuła I
19.45 Dzieje księgozbioru
20.00 Studio sport
21.00 Sensacje 20 wieku — pomyłka gen. Martiniego
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dallas" (5) — serial prod. USA.
22.55 Wieczorne wiadomości

PONIEDZIAŁEK 29 VIII

PROGRAM I

17.00 Program dnia
17.05 Racja
17.15 Teleexpress
17.30 „Przygody prywatnego detektywa" (1)
18.35 Piknik country — Mrągowo' 88
18.50 Dobranoc
19.00 Echa stadionów
19.30 Dziennik
20.00 Teatr telewizji — Spektakl na bis — Christopher Hampton — „Opowieści Hollywoodu"
22.20 Żniwa' 88
22.40 DT-komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Antena „2"
18.50 Mistrz tańca — film dok.
19.25 „Zawsze kochać"
20.00 Program rozrywkowy
21.00 Stan krytyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 Spotkanie z piosenką aktorską
22.00 „Goście z Rotary"
22.20 Biografie: „Romanza finale" (4) serial
23.10 Wieczorne wiadomości

WTOREK — 30 VIII

PROGRAM I

8.50 Domator
9.00 Teleferie
9.30 Kino teleferii: „Samochodzik i Templariusze" (5)
10.00 DT-wiadomości
10.10 DT-reforma gospodarcza
10.25 „Złote obrączki" (5)
16.50 Program dnia
16.55 Telewizyjny informator wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Śpiewa ci obcy wiatr"
18.20 Flesz — magazyn muzyczny
18.50 Dobranoc
19.00 Kram — magazyn konsumenta
19.30 Dziennik
20.00 „Złote obrączki" (5) — serial prod. hiszp.
21.00 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.25 „Listy z nieba"
22.00 Sprawa dla reportera
22.40 DT-komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Ojczyzna — polszczyzna
19.00 Magazyn 102
19.30 Studio sport
20.00 Klucz do nowej muzyki
21.00 Forum pokoju — Wrocław' 88
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy Franka Bayera — „Pięć łusek"
23.15 Rozmowy intymne
23.45 Wieczorne wiadomości

ŚRODA — 31 VIII

PROGRAM I

8.50 Domator
9.00 Teleferie najmłodszych: „Tato, już lato"
9.30 Kino teleferii: „Szagma albo zaginione światy"
10.00 DT-wiadomości
10.10 „Wicher stepowy" (1) — film przygodowy prod. ZSRR
17.00 Program dnia
17.05 Losowanie express i super lotka
17.15 Teleexpress
17.30 „Reduty września"
18.55 Dobranoc
19.05 Program publicystyczny
19.30 Dziennik
20.00 Zwierciadło czasu: „Obca, biała i pstrokaty" film prod. ZSRR
21.40 Żniwa' 88
22.00 Klub międzynarodowy
22.20 „Ameryka w cieniu pieniądza" (1) reportaż
22.50 DT-komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 Studio sport
19.00 Magazyn 102
19.30 „Martwa" — opera Friedricha Flotowa
21.25 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 997 — kronika milicyjna
22.45 Wieczorne wiadomości

CZWARTEK — 1 IX

PROGRAM I

9.30 Domator
9.35 Domowe przedszkole
10.00 DT-wiadomości
10.10 Domator
10.20 „Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie" — film fab. prod. pol.
11.45 Domator
16.15 Program dnia
16.20 DT-wiadomości
16.25 „Kwant"
17.15 Teleexpress
17.30 „Pamięć"
17.55 Refleksje
18.20 Sonda
18.50 Dobranoc
19.00 Teraz
19.30 Dziennik
20.00 „Gdziekolwiek jesteś, panie prezydencie" — film fab. prod. pol.
21.25 Pegaz
22.10 Czym żyje świat
22.40 DT-komentarze

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Kronika
18.30 „Hubalowa legenda"
19.00 „Wratislavia Cantans"
21.00 Ekspress reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 „Zakazane piosenki" — film prod. pol.
23.25 Wieczorne wiadomości

(CIĄG DALSZY ZE STR. 16)

— Są w swoich domach i jedzą śniadanie. Dexter mieszka w Kensingtonie, Duncan w Alexandrii. Sześciu agentów pilnuje ich od wczesnego rana i będą im szli po piętach, aż do wieczora.

— Doskonale. Jeżeliby coś wypłynęło, dasz mi natychmiast znać.

— Oczywiście, sir.

Następnie zjawił się ekspert od odcisków palców. Tyson zaczął od przeproszenia go za to, że musiał przepracować całą noc, mimo że człowiek ten wyglądał znacznie lepiej i zdrowiej niż on sam; z przykrością przypomniał sobie odbicie swojej twarzy w lustrze łazienki.

Daniel Sommerton był niski, blady i drobny, ale cały rozpromieniony. Dla niego identyfikowanie odcisków palców zawsze było nie tylko pracą, ale i zabawą. Dyrektor siedział, lecz Sommerton wolał stać. Gdyby dyrektor także wstał, przewyższałby go o całą głowę.

— Znaleźliśmy odciski siedemnastu różnych palców i trzech kciuków. Panie dyrektorze, postanowiliśmy zbadać je ninhydryną raczej niż parą jodyny, a to dlatego, że nie można było w tym wypadku opracowywać ich po jednym — z powodów czysto technicznych, którymi nie chcę pana nudzić.

Machnął ręką, jak gdyby chciał zaznaczyć, że są to sprawy tak zawiłe, że dyrektor i tak ich nie zrozumie; szef zawsze przecież twierdził, że nie zna się na technice daktyloskopijnej.

— Zostały jeszcze dwa odciski do zidentyfikowania — dodał Sommerton — będą gotowe za jakie dwie, trzy godziny. Wyniki zostaną panu natychmiast przedstawione.

Dyrektor zerknął na zegarek na ręku. Już szósta czterdzieści pięć!

— Doskonale. Ale to już ostateczny termin. Przekażcie mi rezultaty, nawet gdyby miały być negatywne, natychmiast po ich uzyskaniu i proszę podziękować w moim imieniu całej ekipie za wielki wysiłek.

Sommerton wyszedł szybkim krokiem. Spieszyło mu się do tych siedemnastu palców i trzech kciuków. Dyrektor nacisnął guzik interkomu i poprosił panią McGregor o przysłanie mu swego drugiego zastępcy, szefa Biura Planowania i Ocen.

W dwie minuty później stał przed nim Walter Williams.

Średniego wzrostu, o szczupłej, bladej twarzy, wysokim czole i z dwiema bruzdami koło ust, wywołanymi uśmiechem raczej niż troską. Williams znany był w biurze jako Mózg albo Wowo, od pierwszych liter swego imienia i nazwiska. Głównym jego zadaniem było przewodniczenie trustowi mózgów, złożonemu z sześciu — może nieco mniej od niego, ale tym niemniej wybitnie inteligentnych ludzi. Dyrektor często zadawał mu hipotetyczne pytania, na które Williams odpowiadał, po czym okazywało się, że myli się niezmiernie rzadko. Dyrektor wierzył w jego mądrość i ufał mu bezgranicznie, ale dzisiaj nawet jemu nie mógł powiedzieć całej prawdy. Miał jednakże nadzieję, że otrzyma przekonywającą odpowiedź, bo w przeciwnym wypadku będzie musiał ostrzec prezydenta.

— Dzień dobry, dyrektorze.

— Dzień dobry. No i co pan wymyślił?

— Sprawa jest ciekawa. A odpowiedź na pańskie pytanie raczej prosta. Rozpatrzyłem je na wszystkie strony i doszedłem do takiego właśnie wniosku.

Po raz pierwszy tego ranka na twarzy dyrektora pojawił się uśmiech.

— Zakładając, że dobrze pana zrozumiałem.

Dyrektor uśmiechnął się jeszcze bardziej. Wowo zawsze wszystko doskonale rozumiał, poza tym był człowiekiem o tak przesadnie dobrych manierach, że nigdy nie zwracał się do dyrektora po imieniu, nawet w prywatnej rozmowie. Teraz mówił, jak zwykle, zwarcie i logicznie, przy czym jego krzaczaste brwi podnosiły się i opadały niczym notowania nowojorskiej giełdy.

— Kazał mi pan założyć, że prezydent opuści Biały Dom o godzinie X i uda się samochodem na Kapitol. Przejazd powinien trwać sześć minut. Jego wóz jest, oczywiście, kuloodporny, a on sam strzeżony przez ludzi z Tajnej Służby. Czy w tych warunkach istnieje możliwość udanego zamachu na jego życie? Odpowiedź brzmi: jest to możliwe, ale niezmiernie trudne. Jeżeli pójdziemy za tą hipotezą, to możemy założyć, co następuje: grupa morderców mogłaby zastosować trzy metody: a) bombę, b) broń ręczną z bliskiej odległości, c) karabin.

Wowo zawsze mówił tak, jak gdyby recytował wyuczony na pamięć tekst z podręcznika.

— Bomba mogłaby zostać rzucona na trasę przejazdu prezydenckiego samochodu i to na każdym odcinku drogi. Zawodowcy niemal nigdy nie posługują się tą metodą, ponieważ płaci im się nie za próbę zamachu, ale za zamach uwieńczony powodzeniem. Jeżeli zechce pan przestudiować wszystkie dotychczasowe zamachy na życie prezydentów, to zobaczy pan, że ani jeden zamach bombowy nie udał się, mimo że, jak pan wie, zabito nam aż czterech prezydentów.

(ciąg dalszy za tydzień)

Nowe łowy na Yeti

„Człowieka śniegu" szuka tym razem naukowa ekspedycja chińska. W końcu czerwca ruszyła na oddalone od ludzkich osiedli górskie terytoria prowincji Hubei, ponad 100-osobowa ekspedycja. Są w jej składzie biolodzy, antropolodzy, ekolodzy.

Wyprawa podąża w okolice, gdzie legenda yeti jest żywa a jeszcze z XVII wieku pochodzi tutejsze pisane źródło o człowieku śniegu. Głosi ono, że w odległych górach znajdują się pieczary, w których żyje „owłosiony człowiek". Wedle tego źródła schodził on czasem z gór, by w zaludnionych okolicach łowić psy i kury.

Są i nowsze doniesienia o yeti. Przed 10 laty z tych rejonów nadchodziły meldunki o pojawieniu się „niezwykle wysokich — na 2 metry — stworów". Znaleziono też odciski stopy, która wedle antropologów nie mogła należeć ani do człowieka ani do niedźwiedzia. Wyciągnięto wówczas wniosek, że być może jest to ślad poszukiwanej od kilkunastu już lat bez skutku śnieżnej istoty.

Na odpowiedź czy takie stworzenie istnieje będzie jednak trzeba poczekać co najmniej kilka miesięcy. Dopiero wtedy wróci z gór chińska wyprawa.

Przyrodnicze subbotniki

W Związku Radzieckim rozwija się prężnie nieformalny, autentycznie społeczny, młodzieżowy ruch ochrony środowiska naturalnego. Zaczęło się to w obwodzie moskiewskim w postaci tzw. leśnych sobót (wkrótce pod opieką młodych znalazło się w całej RFSRR 6 tys. pomników przyrody), a następnie przerodziło się w ogólnozwiązkową ekologiczną akcję pracy dobrowolnej „Zielona Fala". W tym roku KC Komsomołu i Państwowy Komitet Przyrody ZSRR poparły inicjatywę młodzieży Moskwy, Irkucka, Ukrainy, Mołdawii i wielu innych miast radzieckich przeprowadzania w okresie letnim tzw. przyrodniczych subbotników. Przebywający w miejscu zamieszkania czy na wypoczynku młodzi pracują nad oczyszczaniem stref zanieczyszczających zbiorniki wodne, przy rekonstrukcji urządzeń ochraniających regiony przyrodnicze, odtwarzają zielone strefy w miastach i ośrodkach wypoczynkowych. Przyrodnicze subbotniki cieszą się w całym kraju ogromnym powodzeniem.

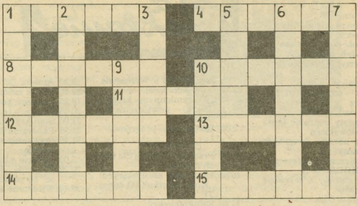

KRZYŻÓWKA NR 32

POZIOMO: 1) poznać po nim głupiego (przysłowie), 4) ród Bony, 8) nieproszony gość, 10) pod kościołem z relikwiami, 11) miasto nad zatoką Gwinejską, oceanem Atlantyckim lub w Meksyku (Jalisco), 12) rasa psów myśliwskich i pokojowych, 13) świętuje z Florą i Raciborem, 14) ślubna asysta, 15) koń maści białej w kare łaty.

PIONOWO: 1) nie zadrukowane miejsce w tekście, 2) korzyść lub zakład handlowy, 3) żołnierz lekkiej jazdy ubrany i uzbrojony na sposób węgierski, 5) lekki, wesoły utwór sceniczny, 6) odpowiedź na zarzuty, 7) szkarłat, 9) silny, nawalny deszcz, 10) wartość, cena.

„Lex" — Gorlice

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 2 września br.

Rozwiązanie krzyżówki nr 30

POZIOMO: 1) feniks, 5) Zawrat, 8) tłoka, 9) kolasa, 10) desant, 11) resor, 12) resort, 15) Alaska, 18) tabaka, 21) oktoda, 24) kambr, 26) luneta, 27) kozica, 28) balsa, 29) alpaka, 30) Niniwa.

PIONOWO: 1) fakir, 2) Idaho, 3) start, 4) boks, 5) zadra, 6) Westa, 7) tetra, 13) era, 14) rok, 16) luk, 17) kod, 18) talia, 19) arena, 20) Akaba, 21) Orkan, 22) tuzin, 23) agawa, 25) mila.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 30, w wyniku losowania nagrody otrzymują: **Michalina Dawidzik** z Zakopanego i **Zbigniew Nowak** z Nowego Sącza.

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

Myśli luzem

Nie ma głowy na karku, kto zbyt wysoko ją nosi.

Wciskanie ciemnoty też w pewnym sensie poszerza horyzonty.

Każdy może śpiewać — tylko nie każdego można słuchać.

Szkoda, że w ustach rośnie nie to, co smakuje.

Kolejność nie zawsze oznacza porządek.

Kto przychodzi z łapówką, nie odchodzi z kwitkiem.

Za okrągłe słówka trudniej chwytać.

Tylko poczta pantoflowa gwarantuje dziś u nas właściwą obsługę.

JERZY LESZCZYŃSKI

HOROSKOP

BARAN: wszystko zwróci ci się z procentem, nie żałuj dotychczasowych wysiłków — jeśli potrafisz kogoś oczarować, możesz liczyć na znaczne korzyści.

BYK: mogą zdarzyć się trudne chwile w twoim najbliższym otoczeniu — nie zwracaj uwagi na agresywne zachowania innych, nie daj się prowokować.

BLIŹNIĘTA: teraz nie powinien opuszczać cię dobry nastrój, wszystko się uda — nie narzekaj na monotonię, bo już niedługo bardzo będziesz jej pragnął.

RAK: nie upajaj się sukcesem, myśl jak go najlepiej dla siebie wykorzystać — z kimś bliskim zapewnisz sobie dobre możliwości działania, to może być coś zupełnie nowego.

LEW: jesteś zmęczony i dlatego drażliwy, nie warto robić afer z powodu drobnostek — otoczenie jest ci życzliwe, możesz to wykorzystać, ale czy potrafisz?

PANNA: teraz powinieneś planować z ołówkiem w ręku i wydatki, i swoje najpilniejsze zadania, inaczej możesz się w tym wszystkim zgubić — oczekiwana odmiana raczej nie nadejdzie.

WAGA: twoje złe humory, wybuchy zniecierpliwienia ciążą i tobie, i otoczeniu, które może niedługo stracić dla ciebie życzliwość — działaj szybko, żeby zmienić tę sytuację.

SKORPION: do tej pory powinieneś być zadowolony z osiągniętych wyników, dlaczego więc nie możesz spokojnie odpocząć? — pohamuj ambicję, daj sobie trochę wolnego.

STRZELEC: duże zmiany w dotychczasowych planach, wszystko będzie inaczej, ale na pewno będziesz z tego zadowolony — możesz spodziewać się nowych, ciekawych znajomości.

KOZIOROŻEC: przełamiesz swoje stereotypy i postąpisz tak, że zadziwisz siebie samego — szukaj życzliwej duszy, to dobry okres na nowe doświadczenia.

WODNIK: tak jak się spodziewałeś wróciły stare problemy, z którymi od dawna nie potrafisz sobie dać rady — bądź spokojny, nie zamartwiaj się, spróbuj sam sobie poradzić.

RYBY: nie jesteś zbyt optymistycznie nastawiony, nie wszystkie plany udało ci się zrealizować — bądź ostrożny w stosunku do tych, którzy chcą utrudnić ci życie.

JEFFREY ARCHER (49)

CZY POWIEMY PREZYDENTOWI?

(tłum. Stefan Wilkosz)

Od paru godzin szalała burza, słychać było pioruny, trzask błyskawic i wycie wozów strażackich. Te były najgorsze. To przez nie tak się spocił. Był teraz bardziej nerwowy niż dawniej. Około trzeciej nad ranem o mały włos nie zadzwonił do prezesa, żeby mu powiedzieć, że wycofuje się z tej całej sprawy. Mimo że prezes niejednokrotnie zwracał mu — w dyskretny i taktowny sposób — uwagę na konsekwencje, jakie poniósłby w takim wypadku. Za kilka godzin będzie, być może, stał nad zwłokami prezydenta. Przyszło mu na myśl, że po śmierci Johna Kennedy'ego wszyscy starali się sobie przypomnieć, gdzie byli i co robili w momencie fatalnego strzału. A dzisiaj on znajdzie się zaledwie o kilka metrów od ofiary. Ale to wydało mu się łatwiejsze do zniesienia aniżeli ruiny kariery, sensacyjne artykuły w gazecie z jego nazwiskiem w nagłówkach i nieuchronna hańba dla całej jego rodziny. Mimo to oczywiście, dużo nie brakowało, żeby zadzwonił do prezesa, chociażby po to, żeby ten jeszcze raz go upewnił, że wszystko pójdzie gładko. Ale przypomniał sobie, że umówili się, iż skontaktują się dopiero w piątek rano, kiedy prezes miał już być w Miami.

Wprawdzie zginęło już czterech ludzi, nikt się jednak tym specjalnie nie przejął. Dopiero śmierć Kennedy'ego poruszy cały świat. Ile osób pamięta nazwiska ludzi, którzy zginęli pod kołami pociągu, wiozącego zwłoki Roberta Kennedy'ego do Waszyngtonu? Nikt, ale wszyscy pamiętają śmierć Roberta.

Senator podszedł do okna i przez długi czas patrzał na ulicę. Co chwila spoglądał też na zegarek, myśląc, jakby to było dobrze, gdyby czas chciał się zatrzymać. Duża wskazówka posuwała się jednakże bezlitośnie ku godzinie dziesiątej sześć. Zrobił sobie śniadanie, przejrzał poranne gazety. Przeczytał, że tej nocy w Waszyngtonie burza spowodowała wiele pożarów, że rzeka Lubber Run w stanie Wirginia zalała kilka ferm. Nic o Kennedym. Myślał o tym, że dobrze by było móc już dzisiaj przeczytać jutrzejsze gazety.

Pierwszy telefon do dyrektora był od Elliotta, który zawiadomił go, że nic w zachowaniu się senatorów Dextera i Duncana w ciągu ostatnich godzin nie przyniosło nowych poszlak. Ten anonimowy człowiek robił, co mu kazano, ale nie wiedział dokładnie, o co chodzi. Dyrektor, mrucząc coś pod nosem, usmażył sobie jajko i przeczytał sprawozdanie w „Washington Post" o szkodach, jakie tej nocy wyrządziła w mieście wściekła wichura. Wyjrzał przez okno. Dzień zapowiadał się słoneczny, suchy i przyjemny. Idealny dzień na zamordowanie prezydenta, pomyślał. W takie pogodne dni wyłażą żmije z nor. Jak długo można jeszcze ukrywać prawdę? Prezydent miał opuścić Biały Dom o dziesiątej. Należało zawiadomić szefa ochrony prezydenta, Stewarta Knighta, i samego prezydenta co najmniej na dwie godziny przedtem. A co mu tam, zostawi wszystko na ostatnią chwilę, a tłumaczyć się będzie później. Gotów był ryzykować całą swoją karierę, byle móc złapać zbrodniczego senatora na gorącym uczynku. No, ale czy wolno igrać życiem prezydenta...?

Zaraz po szóstej pojechał do Biura. Chciał się tam znaleźć na dobre dwie godziny przed przybyciem Andrewsa, żeby zdążyć przestudiować wszystko, co zostało stwierdzone od poprzedniego wieczora. Niewielu jego asystentów wyspało się tej nocy, chociaż żaden nie wiedział, jak ważne jest powierzone mu zadanie. Ale dowiedzą się, i to bardzo niedługo. Zasięgnie opinii trzech ludzi — o tym, czy skreślić wizytę prezydenta na Kapitolu, czy też pozwolić mu tam pojechać: swego zastępcy z Wydziału Dochodzeń Ogólnych, dyrektora Biura Planowania i Ocen i dyrektora Wydziału Kryminalnego. Zajechał na parking Biura. Elliott czekał na niego przy windzie. Zawsze był tam, gdzie był potrzebny, nigdy się nie spóźniał. Ten człowiek nie ma duszy, trzeba go będzie zwolnić, pomyślał dyrektor, to znaczy, jeżeli ja nie zostanę zwolniony wcześniej. Może będzie musiał jeszcze tego wieczoru wręczyć swoją rezygnację prezydentowi? Ale jakiemu prezydentowi?" Zmusił się do zmiany toku myśli. To wszystko się ułoży, na razie trzeba działać.

Elliot nie miał nic szczególnego do doniesienia. Dexter i Duncan telefonowali kilkakrotnie tej nocy, odbierali też telefony, ale w żadnej z tych rozmów nie można się doszukać niczego podejrzanego. Innych informacji nie zebrał. Dyrektor zapytał, gdzie znajdują się senatorowie w tym momencie.

(CIĄG DALSZY NA STR. 15)